



365

HR. M. J. WIELOPOLSKA

SYNOGARLICE

SPÓŁKA NAKŁADOWA „KSIĄŻKA” - KRAKÓW.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE
MAZOWIECKA 12, STARE MIASTO 11, MARSZAŁKOWSKA 143.

S Y N O G A R L I C E

HR. M. J. WIELOPOLSKA

SYNOGARLICE

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

KSIEGARNIA M. ARCTA W WARSZAWIE

1919



DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE.

<http://rcin.org.pl>
3003

WYBRANIECKIE PUŁKI.

Ostrą iglicą mieczów szyc całość narodu,
na ziemi jego krosnach ręką wodzić skrzętnie,
być błaznem i herojem bitnego zawodu —
Prześwietnie i dokładnie, niemrawo i mętnie
wywodzić to kaduczne swe prawo orężne,
do chwały szermowania, do ostróg brząkania,
to prawo trzykroć śmieszne, tchórzliwe i męzne...
Na tarczy herbowej chcieć zmieścić Ojczyznę,
na dziadów ryngrafie spisane wskazania,
płaszczami senatu zakrywać jej bliznę,
dla podłej prywaty odradzać wytrwania —
przecinać tętnice jej życia rumiane,
by tylko ta jedna karmiła jej serce,
precz rzucać z tej harfy prześpiewy niegrane,
by jeden rozdzwaniał we wszystkich rozterce...

Któż to spotrafił, jak nie szlachty buta?!
Nie jej-że pycha, stara, ostra, krasna,
we wszystkiej cnocie i niecnocie kuta?!

Chłopu ojczyzna była tak niewłasna,
jak łzom nędzarza zabawka za ladą —

wątpiąc, czy chleba doozerze się pługiem,
miał się Ojczyzny doorywać szpadą...?!
* * *

Śniły się królom takim, jak mądry Batory,
z siermiężnych „wybranieckie“ komendy tworzone,
lecz któż w Rzeczypospolitej tym hasłom był skory?
na pergaminach wszystko zostało prześnione...

Precz wy od miecza, dłonie spracowane!
precz od pancerza, płótnianki szare!
precz od blizn batów, zbroje wykowane!
W zwid wielkie plany przeszły i w marę...
Ta mara chodziła po kwiatach i gnoju,
samotna, groźna, w żałobie i gniewie,
raz po raz wołając do czynów, do boju,
ów lud, co jeszcze nic o sobie nie wie.
Na szaleństwo wodzów kładła ciągle dłonie,
ścieląc chłopskie gunie pod nogi ich celom —
...brały chłopcy kosy, siadały na konie —
miodołownym, chwilę, równając się trzmielom.

Chwilę równości JUTRO zmieni w prawo
i wszystkie pszczoły w ulu działać będą!
wichr cię zdmie, królów i trutniów kurzawo,
że wszystkie pszczoły plastr pracy obsiędą.
Wziąwszy dwusieczne, nieznanne brzeszczoty,
pójdą nareszcie siermiężni żołnierze

okrutność poznać wojenną i cnoty,
z bezsławą ojców zerwawszy przymierze.

* * *

Idźcie wy, którym kruża była pusta,
od dna po brzegi, jak wyschnięte studnie...
piły ją haustem jaśnie panów usta,
znacząc was piętnem na czole obłudnie:
piętnem polskości, boście polskim kmieciem,
znamieniem Polski, gdyż prał was bat polski —
boście ćmą polską roboczą i śmieciem!
(...„z stu chłopów lepszy jeden koń natolski!!!“...)
Idźcie wy, których trącono od misy,
legją „wybraną“ — twardzi, płomieniści —
hańbą szlacheckie spłaćcie infamisy,
a wola sławna Batorych się ziści.

SYNOGARLICE.

I.

Z pewną złośliwą satysfakcją śpiewała siostra Probantka takie dziwne rzeczy, że aż ksiądz biskup przystanął w kurytarzu i na poły zdumiony, na poły rozweselony, wszedł do celi siostry Franciszki.

Biała mniszka zerwała się od stołu powitać biskupa, lecz ten dał znak, aby się nie ruszała, jeno słuchała pieśni, z kurytarza dolatującej.

Właśnie głos siostry Probantki dochodził, zmorzony w barwie, nasycony energicznym, mazurskim akcentem:

Dewotki zakonne
w swej celi rozumne,
gdy opuści mury,
wycino mazury...

Siostra Franciszka zmieszała się.

— To Kasia śpiewa, najprzewielebniejszy panie.

— Ach, to „Kasia“ śpiewa?! Czyż być może?

A któż to jest „Kasia“?

— Właściwie siostra Magdalena, a w świeckim stanie: Kasia.

— Moja córko, czy ona w świeckim stanie tych wdzięcznych pieśni się wyuczyła, czy też tutaj? — zagadnął biskup.

Mniszka wzięła żart za urzędową indagację, więc srodze przestraszona, jęła tłumaczyć Kasię, że ona jeszcze probantka... w nowicjacie... że za nic nie chciała tu pozostać, tedy naumyślnie śpiewa te krakowiaki do niczego nie podobne... że nie przejęła się jeszcze duchem zakonnym...

— Tak, to widać, — mruknął biskup i słuchał z roztargnieniem lekkomyślnie śpiewanych krakowiaków, od których aż echo po klasztorze grało.

Biegł za jakąś myślą, bo raptem spytał:

— Dlaczego?

— Dlaczego jej tak mocno bronię? — domyśliła się siostra Franciszka. — To moja służebna i poddanka, panie. Kiedy się ociągałam... z przywdzieniem habitu, jejmość matka moja nakazała Kasię wstąpić także do nowicjatu, aby mi lżej było w samotności klasztornej, a wielebna matka przeorysza również...

• Lubiał biskup tę cichą mniszkę za to, że w lot zgadywała jego myśli, że nie potrzebywał jej długo wykładać, na co odpowiedź dać winna, więc spytał przyjaźnie:

— Tak się waćpanna ociągałaś?.

Poraz wtóry zmieszała się siostra Franciszka.

Cienki jej profil nachylił się zwawo nad pergaminem, który pracowicie zdobiła, a ręka wiodła tajemniczy desen' dokoła liter i marginesów. Jakies liście jesienne kładły się bronzem na płat księgi, podobne do tych, któremi wiatr potrząsał za oknem, a z tych liści wypełzały smoki i gady niesamowite — gryfy potworne, dwu i trzygłowe — zaś nad tą płataninę wybijała się gąsienica purpurowego krucyfiksu, na którym konał Chrystus, zdrowy, pulchny i różowy nad wyraz.

Drobna ręka mniszki biegała śpiesznie po zawikłaniu ornamentów, niestrudzona, przemyślna, jak puch.

Twarz jej w białem okoleniu dominikańskiego kwefu, wyglądała jakby niedokończona, jakby jej brakowało czegoś. Zapewne włosów schowanych pod kornetem było brak, i brwi, które kwef zasłaniał całkowicie. Wprost z pod jego mleczej linii patrzyły oczy, błękitne jak noc zimowa, osoplone złotawą rzęsą, tem dziwniejsze, że wypływały niespodzianie z białego oparu welonów, jak z oparu wód wypływają czasem oczy dziwożony i przez długie, złotawe rzęsy szuwarów, patrzą w topielca.

Smutną, zastygłą raną paliły się młode usta, znowu odcięte od brody i szyji dolnym zawojem kwefu zakonnego. Purpura ust i błękit oczu świe-

ciły emaljowanym połyskiem, zdwojonym i niespodziewanym na tle tej zimnej sędzielizny habitu, ale rysy zbiegały się w jedną twardą, witrażową linię z fałdami sztywnej sukni.

Habit czynił śmierć i spustoszenie w tej wiosnie. Przypadł jakby śniegiem na płomienisty, ledwo rozkwitły krzak i tylko gdzieniegdzie wystrzeliwał z zamrozu nieśmiały, zduszony kwiat: mięszem czerwonej radości usta — bezbrzeżnem zdziwieniem błękitne źrenice.

Biskup zapomniał o zadanem pytaniu.

Oczyrna włóknę się leniwo za bieganiną rąk kobiecych po pergaminie i splątały mu się majaki smoków, gryfów, krucyfiksów i tych rąk niewieścich, w jeden tańczący węzeł.

Z tej wściekłej gmatwaniny, wyłuskiwała się powoli plama jej twarzy i pociągała wzrok, nijaka, zamknięta na sto pieczęci.

Odkąd ów mszał dał jej do malowania, przychodził tutaj i przesiadywał godzinami, rozmawiając z nią, ziewając, nudząc się i bawiąc i dopiero dziś zauważył, że niczego o tej dziewczynie nie wiedział, że o ile inne mniszki skore były do konfidencji jaknajdalej idących, ta milczała o sobie, bez podkreślania nieufności, ale tak, jakby nie egzystowało nic poza jej życiem obecnem, poza pracowitem i mozolnem zdobieniem mszału biskupiego.

Z zygzaków pergaminu przeniósł wzrok na jej rysy młode i czytał z nich, dość obojętnie zresztą, jak z brewiarza.

Sygnaturka jakaś zawarczała w oddali — siostra Probantka śpiewała uporczywie:

Siwy kuń, siwy kuń,
siwy, jabłkowity,
dawno byłby księdzem,
żeby nie kobity...

Gołębie łomotały skrzydłami i gruchały za oknem, wiatr jesienny cicho świstał, jakby nawoływał kogoś z głębi ogrodu, czy z głębi klasztoru. Liście bały się tego świstu i opadały na murawę, zmykając cicho i ukradkiem i czyniąc szelest, jakby miliony kroków szły po murawie i kędyś ginęły w sercu ziemi, czy w sercu nadśłuchującego człowieka. Badyłe dzikiego wina biły o szyby, dyskretnie, pukaniem nierównym, lub gładziły szkło, jak suchymi, starczymi palcami.

W klatce za oknem, tłukła się samotna synogarlica, oszalała tęsknotą, lub martwiała nagle, zasłuchana.

Może w łomocie skrzydeł gołębic, w cichym świście wichru, w nierównym, dyskretnym pukaniu badyli winogrodowych, w szeleście opadających liści, dosłuchiwała się lotu niezapomnianego towarzysza ?...

Wówczas bo przekręcała szarą, głupią, zbiedzoną głowę i mruzczała swój cukrowy, miłośny pacierz.

Sposępniała rasowa twarz biskupa. Bezmiar nudy osiadł na niej i oprzął rysy pajęczyną smutku.

Bębnił wykwintną ręką po stole, a szmaragd na palcu skrzył się takim wilgotnym lśnieniem rzęsy na stojącej wodzie.

Złoty łańcuch wżynał się olbrzymiem sercem na jego rokiecie i kończył się ciężarem krzyża, zasianego brylantami, którego cztery rogi zdobiły cztery emblemata ewangeliczne, cyzelowane w rubinie.

Gdyby nie był za leniwy dzisiaj, może byłby sięgnął poza stół, po to młode, niezbadane ciało zakonnic. Ostatecznie nie po jedno już sięgał i pił z ust świeżych to coś, co zmieszane z gorzką bez troską jego egzystencji, stanowiło napój świętokradzki, szumiący, perlisty, a obojętny właściwie i nudny.

Na opactwie tynieckim, przed otrzymaniem przemyskiego biskupstwa, harem wszakże cały trzymał przy sobie i jawno grzeszył, aby go nie dręczyła myśl, że jest bezosobową pokutą tylko, za arjańskie grzechy ojca — bezwolnem całopaleniem na ołtarzu ojcowych błędów i rewokacji — manekinem zadośćuczynień.

Na jędrnych, atłasowych plecach Włoszek z Rzymu przywiezionych — na cudnych przegubach

mlecznego karku niejednego, rozkładał olbrzymie, żółkłe foljały koloszwarskich katechizmów, jak na pulpicie i czytał z nich łąpczywie to, co było zgubą jego ojców, lub brał drobniutkie, różowe szpony w swoje dłonie i wodził nimi po sędziwych stronicach Stankarowych uniesień religijnych, dogmatycznych spekulacji Eckhartów, szałów mistycznych Gersona.

Łączył te dwie zakazane rzeczy, te kacerskie dzieła i te drgające ciała niewieście w jedno, i wyzywał stany duchowne i rewokujących ojców do boju.

Za możliwym był jednak panem, aby z nim walczono.

Kler patrzył przez palce na wybryki młodego opata, który miał być zadośćuczynieniem za lata przენiewierki, i kacerstwa Firlejów, zaś szlachta tarzwała się w prochu na widok jego poszóstnych karet, w których osie i szprychy były szczerozłote, a pudła z różanego drzewa, malowane sprośnie włoską manierą.

Młody jeden kleryk zemdlał raz, gdy wszedłszy niespodzianie do pysznej sypialni Firleja, ujrzał śpiącą dziewczynę, rzuconą jak różowy obrus na poprzek cedrowego łoża, zaś na tym obrusie, między dwiema polerowanemi kulami jej piersi: „*Rozmowy christiańskie, które z greckiego nazwiska*

dyalogami zowią". Biskup klęczał i błękitnem gęsiem piórem pisał uwagi na marginesie jej bezwładnego ramienia.

W miesiąc później uciekł coprawda ów kleryk z tą samą dziewczyną i na pamiątkę, zapewne, decydującej chwili, wziął ze sobą rzadki egzemplarz „*Rozmów christiańskich, które z greckiego nazwiska dyalogami zowią*“, ale echo tego wypadku rozeszło się po całej Polsce. Kiedy powtórzono nuncjuszowi haniebny fakt używania lekkich kobiet jako pulpity, w opactwie tynieckiem, pod kacerskie i niekacerskie księgi:

— Ano — rzekł nuncjusz z pobłażliwym uśmiechem — historia nas uczy, że także same żywe pulpity kusiły św. Antoniego Pustelnika, a mimo to modlicie się do niego dzisiaj..

Nie było rady.

Młody opat hulał, polował na zwierzynę dwu i czteronożną, aż ostatecznie osiadł na biskupim stolcu przemyskim i tu pielęgnował w samotności cudaczne kwiaty i swoje serce chore.

Włóczył się po krużgankach swego pałacu i zagładał marnym konterfektom swych poprzedników w ślepiea.

Cieszył się z zyzowatych oczu Eryka, który wyklął Dominikanów przemyskich za konkurencję — chmurnie się dziwował Tarle, z którego klątwę

zdjęto dopiero po śmierci — przyjaźnie kiwał głową Wawrzyńcowi Goślickiemu, który tyle sadła jezuitom zalał za skórę — drwiąco się uśmiechał do Walentego Herburta, który przekonał kapitułę, aby i nieszlachciców w swoje dostojne grono przyjmowała — i zdawało mu się, że chodzi pośród małych jezior, pośród drobnych szyb stojącej wody — takie ogromne były te wyłupiaste oczy, ze ścian patrzące.

Duży chart chodził za nim, wydłużony, jakby był własnym cieniem i węszył wzgardliwie stare dalle, spróchniałe boazerje, zbutwiałe dywany. Jak dwa zdetronizowane króle, wyglądali w tej szarej sali, on i pies.

Słońce wypryskiwało czasem z za gotyckich witraży, kładło wstążki kolorowe na śniadą kamienność podłogi, okręcało się renesansowo dookoła pilastrów — migotało w zgaszonych świecznikach i w chowanekę z psem zdawało się bawić.

Biskup chodził tam i z powrotem i słabł w miarę jak chodził.

Czuł, że zamiera mu serce jakimś skurczem niemłym, tedy włókł się ociężale do apartamentów z powrotem i wachał sole, które mu śpiesznie podawał anemiczny kleryk.

Czuł, że nawet zawiązek dawnego, junackiego światła, przestaje drgać na czarnej ścianie tej blizkiej i pewnej śmierci.

Obecnie interesował się mszałem, malowanym wedle florenckich wzorów przez siostrę Franciszkę.

— Więc tak się waćpanna ociągałaś z przywdzianiem habitu? — powtórzył po dobrej chwili.

— Któraż się nie ociąga w ostatniej godzinie? — odparła wymijająco mniszka.

— Słyszałem przecie, że waćpanna dwa lata mieszkałaś tutaj w klasztorze jako świecka. Miałaś czas poznać do gruntu życie zakonne.

— Ach tak! Czekałam...

— Na co czekałaś?

Odłożyła na bok muszelkę z farbą i — niespodzianie, śmiało, zuchwale, wybuchem jakiejś młodej, nieprzewidzianej szczerości, rzuciła:

— Na *niego* czekałam.

Znudzone oczy biskupa zajrzały jej ironicznie w źrenice.

— Aa? i doczekałaś się „jego“?

Zawahały się jej usta — niespokojne oczy obie-gły pokój, ale rwały się do buńczucznych wynurzeń.

— Doczekałam się — odrzekła krótko.

— To zaczyna być ciekawe... — uśmiechnął się biskup — bo pocóżes w takim razie przywdziała te oto szatki, w których ci zresztą całe do twarzy.

Siostra Franciszka poprawiła oburącz kwef, jakby jej nagle ołowiem zaciężył.

Cudne dwa wężę brwi wybiegły z pod opaski i znieruchomiały sierpem nad oczyma. Podniesiona twarz wysunęła się z dolnych obramowań kornetu i cały owal wypłynął raptem, nieoczekiwanie wdzięczny i młody. Firlej patrzył w nią nie tając zdziwienia.

— Czyżby „nim“ był wasz kapelan, ten stary niedochodek, na adonisa bynajmniej niewyglądający?...

— Zaśby kapelan! — roześmiała się siostra Franciszka pusto, dziecinnie, brnąc już bez pamięci we wspomnienia, w wynurzenia gadatliwe. — Czekałam na narzeczonego mego, pana porucznika Samuela Kurdwanowskiego, kasztelanica zawichoskiego.

— Cóż się działo z tym przენiewiercą?

— Wojował z Moskwą i nie wracał i znaku życia nie dawał. Ja tu czekałam w klasztorze, pod opieką pani wojewodziny Marcinowej Krasickiej, bo akuratnie wtedy jejmość matka moja drugi raz zamąż się wydawała i kwapiła z przyśpieszeniem dnia moich obłóczyn. Opierałam się i czekałam. Kiedy jednak ojczym pokazał mi sygnet pana Samuelowy i powiedział, że on legł w potyczce pod Smoleńskiem, wstąpiłam do nowicjatu.

— Więc się go właściwie nie doczekałaś, mościa panno.

Potrząsała głową.

— Doczekałam się. Wzięliśmy nawet ślub.

— Teraz nic nie rozumiem — bąknął Firlej.

Mniszka zamilkła, nagłą nieufnością owiana. Kwef zesunął się na nowo na jej śliczne brwi i skrócił twarz, że stała się jako twarz spłoszonego dziecka.

Z porcelanowej miseczki zaczerpnęła kilka grudek akwamaryny i rozrabiała ją wolno na muszli, opryskując bezmyślnie opalowe brzegi.

Synogarlica gruchała melancholijnie i tego gruchania żałosne krople wpadały w ciszę pokoju, że naodwrot zdawała się ona skraplać cała na ścianach celi, drobniutkim tym odzewem.

Wszystko rozdrobniło się, rozprysło, w niepochwytne atomy tajemnic, smutków i szaleństw,

Coś było, coś trwało, coś minęło i osiadło ni-
kłą rosą na sercach ludzkich.

I było w tem wszystkim to, co się realizuje
czasem w sztuce, ale w co się nie wierzy w życiu.

Kasia aż się zanosila od krakowiaków:

Posła do kościoła
siodła za ławkami,
co sporzi na chłopców,
zaliwo sie łzami...

— Miłościwy, najprzewielebniejszy panie, ty mnie
nie zdradzisz? — spytała nagle lękliwie i ścieląco
siostra Franciszka.

- Bo ja wiem? — zaśmiał się Firlej.
— Zdrada to grzech... — dodała nieśmiało.
— Alboś nie warta grzechu?...

Ożywiła się jakoś. Wstała z rzeźbionego stołka i stanęła przed biskupem jak elastyczny, giętki, strzelisty pęd wodorostu, jak skrzenie samego życia.

Różaniec dzwonił hilarycznie u jej pasa.

— Tu w klasztorze, w starym świerzeniu, ślub brałam miesiąc temu. Nawet suknię ślubną miałam...

— A habit? — zaryzykował Firlej.

— Habit wisiał na kołku — odparła naiwnie. — Pan Drohojowski družbował. Siostra Probantka, moja Kasia, otworzyła furtę i potem wpuściła mnie do klasztoru, kiedy dzwonić miano na jutrznię*).

— Czegóż cię twój niedołęga zaraz ze sobą nie zabrał, jeno oddał klasztorowi?

— W usarji pana Gosiewskiego jest towarzyszem i wraz musiał wracać w pole, a kiedy się boje z Moskwą ukończą, on przyjedzie i zabierze mnie, byle mnie nie zmusili do obłóczyn! Najprzewielebniejszy panie! na świecie byliby mnie dawno mu odebrali, a tu? komuż na myśl przyjdzie?

— Ano pewnie. Djabłuby na myśl nie przyszło.

*) Cała historia pny Leonory Szczawińskiej autentyczna r. 1634 (patrz: agr. przemyskie t. 356—358). Autentyczne również pieśni ludowe, wyżej podane.

Na kurytarzu zbliżyły się ciężkie kroki siostry Probantki, szorującej podłogę i jej nieustanna pieśń:

Kiedy po mnie przyńdziecie,
za piecem bende
Bende się wom upierała,
nie bende iść zamuz chciała,
a rada bende...

— Znowu tam antychrystuje twoja Kasia — zauważył biskup, ale siostra Franciszka nie słuchała Kasi.

Zaczęła mówić o tym swoim małżonku jednodiowym, przesypując z ręki do ręki najtkliwsze nazwy dla niego, jakby świećka i kamienie cenne.

Grał on w jej piersiach, jak przyszłość najśłodsza.

Zapach jej młodości, tak pięknej, tak boleśnie świeżej, owiał chorą duszę Firleja, że słyszał wprost jak chodzi jej serce i mądrym się z tego robił, jakby słyszał bieg całego świata. Oczy jego patrzyły z gębem jej bioder i ramion i myślał:

— Co jest miłość? w tych morzach smutku, pod słońcem wesołem — dwoje czerwonych ust co się piją...

Ej ty mój bluszczu, mój powoju! ty złoto-zielone, dzikie wino moje, oplątane dookoła prostego, żołnierskiego miecza!...

Padać musiałaś za jego każdym krokiem, jak

duże, złote kłosa — i żaden z tych kłosów już nie powstanie i ziarenka z nich tracone, wysypały się niby łyż, a chociażby można powiedzieć, że szkoda, by się pod tak wesołym, żołnierskim krokiem i tak szybką stopą, łamały piękne, śliczne kłosa, to jednak tak być musi.

Synogarliczko, nosząca samotność jak żalobę...

Firlej zamknął oczy, a pod powiekami miał ją tak blisko. Jakoś epicznie żyło się z tą bliskością, jakoś tak, że żadna z chwil mijających nie mijała.

Wzbierała w nim ochota chwycić w obie dłonie tą świeżą, ciepłą mordkę, wzbierała w nim ochota objąć ją całą, nie kobietę, ale symbol, tak jak się obejmuje ukochane krzewy kwitnące, gdy się już nie wie, na wiosnę, jak radość swoją wyrazić.

Dławiła go ta radość, na której dnie tkwił niewyrwany grot smutku, niezłowiony czerw zniechęcenia.

Tymczasem otworzyły się drzwi do celi i ukazała się w nich szeroka, pocieszna twarz siostry Probantki, wyglądająca jak razowiec, w białą serwetę owinięty i momentalnie drzwi te napowrót się zatrzasnęły, jakgdyby siostra Probantka ujrzała diabła we własnej osobie. Zaś w chwilę później znowu rozlegał się jej śpiew zuchwały:

Kiedy po mnie przydziecie,
za piecem bende...

II.

Tak duszno było w kościele panien Dominikanek przemyskich, mimo srogiego mrozu na dworze, że jejmoście wszystkie porozpinały szubki szlamowe i kazjatki na włosowym hatłasie, a nawet palatynki poodrzucały i wachlowały się dyskretnie chustkami.

Przed ołtarzem leżała krzyżem siostra Franciszka, dziś śluby wieczyste składająca.

Dookoła niej płonęły złotym wieńcem nieśmiertelników świece, jak dookoła katafalku.

Przy ołtarzu, we wspaniałej asyście, ksiądz biskup Firlej odprawiał mszę.

Przyklął poraz niewiedzieć który i usiadł wreszcie na purpurowym stolcu, zaś szeregi księży złamały się i obsiadły go wraz, jak ten rój świec obsiadł leżącą mniszkę.

Na ambonę wszedł jezuita.

Ręce rozłożył i zakołysał się nad nawą, jak chudy, czarny jastrząb nad łanem.

Siostra Franciszka podniosła się z ziemi i kłęcząc, patrzyła w Firleja, jak w obraz. Czekwała jakby znaku od niego, protestu, ratunku.

Lecz biskup siedział nieruchomy i milczący.

— ...dwojakię były u starych żydów ofiary, — rozpoczął słodko jezuita. — Jedne niezupełnie doskonałe, niezupełnie się Bogu oddające — drugie

najdoskonalsze ofiary całopalenia, na których, lub wino do ostatniej kropelki, lub chleb do ostatniej okruszyny, lub bydłę do ostatniego kopytka, Bogu samemu na ogień i całopalenie oddawano. Tak ciebie oddaje się ninie Bogu, wielmożna panno Leonoro...*)

Głos jezuita myszkował po gzymsach, miękko jak kot — spływał jak woda po filarach — dzwonił jak deszcz po szybach i biegł rażno w cuglach mądrości i elokwencji.

Wszystko słuchało z zapartym oddechem, tylko mniszka nie słuchała. Przykryta czarnym welonem jakby popiołem przysypana, patrzyła ciągle w biskupa, a serce jej biło, że aż dziw, iż nie wyskoczyło kulą czerwoną na posadzkę kościoła i nie potoczyło się przekleństwem sierocem, ludziom do nóg.

— ...od jejmość matki mojej takiegom ja sobie życzyła Kawalera — ciągnął nieprzerwanie jezuita — któryby się nigdy nie starzał, nigdy nie chorzał, nigdy nie umierał, a że takiego w całej Koronie, ba! w całym świecie dobrać było niepodobna, jam

*) Mowa powyższa przepisana z rzadkiego, ulotnego pisemka, będącego w mojem posiadaniu pt.: „Kazanie na professji zakonney niegdzy Jaśnie Wielmożney Jejmości Panny Franciszki, Hrabianki na Żywcu i Pieskowej Skale Wielopolskiej, Gienerałówny Małopolskiej etc. miane od x. Stefana Szczawińskiego Soc. Jezu etc.” Kraków r. 1718.



sobie Takiego dziś sama znalazła: jakoż Go znaleźć najśnadniej, bo wśród południa i w samym słońcu, niepokalaną łożnicę sobie założył. Ten to jest miłości mojej Rozbójnik — ta to święta Łotrzyca jego Ewangielja, ze wszystkiego mnie świata odarła, wyzuła i cale wyniszczyła...

Gorąco i kadzidła, wyplakane łzy i niedospane noce, odurzyły zupełnie siostrę Franciszkę. Przywracała ją od czasu do czasu do przytomności pompa zbyt świetna, powódź światła zbyt ognista, wymowa kaznodziei zbyt donośna, ale zwidywał jej się ciągle piękny porucznik kasztelanic u boku — zastraszony ksiądz, wiążący ich stułą — uradowana junacka twarz Drohojowskiego i ów dywan buraczkowy, lśniący, na którym ogromny, biały słoń był wymaginowany i na którym klęczeli oboje, przysięgając sobie śpiesznie miłość i wierność dozgonną.

—ale Bóg jest dobrej fantazji — prawil jezuita. — Stworzeniu swemu nigdy zwyciężyć się nie da. My Mu szczypkę, a on nam całą garścią. Jedną szczerą, twardą kość dał mu Adam, (i to nie swoją, bo świeżo od Boga stworzoną i to nie dla Boga, bo na własną swoją potrzebę, na uczy-nienie Ewy), a Bóg mu zaraz na to miejsce oddał zupełnie szczerego mięsa sztukę: Ewę. Czy nie dobry, bracia moi, z panem Bogiem naszym frymarek?!

W drzwiach kościoła zastukały okute żołnierskie buty, jakby zwierz jakiś pośpiesznie szedł przez klawiaturę.

Pobożni zaczęli sykać i wołać „cicho!“ lecz dwóch pachołków zbrojnych szło mimo wszystko ku ołtarzowi, z surmem i hałasem, niosąc rozpięty ponad głowami dywan.

Jezuita zamilkł osłupiały — kobiety powstawały z ław — Firlej obrócił zmęczoną, znudzoną twarz ku idącym i — czekali wszyscy co się stanie.

Nic się zrazu nie stało. Pachołkowie, podszedszy do ołtarza, położyli tylko dywan na ziemi — lśniący, buraczkowy dywan, na którym duży, biały słoń był wyimaginowany. Następnie jeden z nich zwrócił się do biskupa i rzekł:

— Jaśnie wielmożny pan porucznik Samuel Kurdwanowski, kasztelanic zawichoscki, przesyła ten oto kobierzec, na którym rok temu niespełna ślub z panną Leonorą Szczawińską, chorążanką wyszogrodzką, tu obecną, brał — aby na tymże kobiercu złożyła ona wieczyste śluby zakonne, skoro przymuszają ją do nich gwałtem, siłą i podstępem...

Podniosło się larum.

Jezuita krzyczał coś z ambony i rozkładał ręce, jakby miał zlecieć piorunem na głowy pobożnych — jejmość matka profeski, przypadła zczerwieniona do pachołków i rozkazywała im iść precz. Biskup Firlej

tylko milczał dalej i patrzył spokojnie, znudzonymi oczyma, jak kilkakrotnie zatoczyła się siostra Franciszka, chcąc powstać, i jak wreszcie runęła cicho — znowu krzyżem — na swój ślubny kobierzec, kolanami niewiadomych sułtanek wyklęczony prawie do cna.

III.

W karczmie przydrożnej kotłowało się jak w garnku.

Strojne pajace wylatywały co chwila na podwórze i zaczerpnąwszy wody ze studni wlatywały na powrót w czarny lejek sieni.

Chłopi poszeptywali, żyd-arendarz jęczał, czy udawał, że jęczy. A nad tem wszystkim niebo rozesało się jak złoto — sierpniowe, dożynkowe niebo: zwierciadło wesołości ludzkiej, sytości, za-
możności.

Raz wraz przejeżdżał wóz drabiniasty, wyładowany pierzyną snopów, cały zasobny, godny, ciężki, złotem postękujący, i stawał przed karczmą, bodaj na chwilę.

— Moiście wy co się tu dzieje? — pytały parobczaki z wierzchołka snopów.

— Wielgi pan w karczmie umiera.

— Król?...

— Widzicie go! — wyszczerzyła zęby harna
dziewka. — On myśli, że króle to tak sobie co-
dzien umierają, na głładkiej drodze!

— No więc kto?

— Mówię ci, wałkoniu: wielgi pan.

— Ja także wielgi pan — zaśmiał się do dziew-
czyny parobek. — A co on sobie do tej karczmy
upatrzył, ów wielgi pan, że aż tu przyjechał nogi
zadrzeć?

— Kto to wie, gdzie się spodoba jaśnie wiel-
możnemu żyć i gdzie głowę położyć. Ich jest świat,
nie nasz — zaopiniował stary owczarz.

— Arendarzu, a skąd ten pan jedzie? nie wiecie?

— Z Przemyśla ponoś biskup. Do Poznania
jechał na nową posadę.

— Stary jest?

— Gdzie tam. Akurat jak wikary tutejszy.

— Biskup... biskup... — poszeptywały głosy
szacunku pełne, zaciekawione i wozy ruszały wolno
w piękną drogę lipową — złote żuki, znaczące
swoją ślad to żdźbłem, to ziarnem, lśniącemi drzaz-
gami i paździerzami, jak mikroskopijnymi konstela-
cjami gwiazd.

W izbie zaś karczmarza mówił umierający bis-
kup, oparty o stos poduszek i żydowskich betów,
wolno mówił:

— Jedźcie w świat. Przyłapałiby was wnet,

skoro zamknę oczy. Rozerwać waszego ślubu nie zdoła nikt, bo złożyłem oświadczenie, które zaraz po mojej śmierci zawiozą do konsystorza przemyskiego, żem małżonkę waści, panie kasztelanicu, przyoblekł nieprawnie w suknię zakonną, albowiem wiedziałem, iż stoi temu na przeszkodzie legalnie z tobą zawarte małżeństwo. Więc obłóczyny jej nieważne. Biskup Szołdrski może się teraz wściec, ale nie poradzi, byle was obecnie nie dogonili i „siostry Franciszki“ gwałtem ci nie odebrali. Przyznaj mi, panie poruczniku, żem ci żonę wykradł z klasztoru, jak żaden amant jeszcze nie spotrafił... A tak się czule żegnałem z matką-przeoryszą, podczas gdy „siostra Franciszka“ cicho do mojej karety wsiałała, zapuszczając firanki szyb, a tyś cugle zbierał na koźle...

Młodzi stali wzruszeni.

— Nie możemy cię, miłościwy panie, samego i obłożnie chorego tu zostawić — rzekł Kurdwanowski.

— At! — machnął ręką biskup. — Nie wskóracie nic przeciw śmierci, a mój medyk mi zaręcza, że ona siedzi u mego wezgłowia i za godzinę, za dwie... no mniejsza! Jedźcie! Szkoda tylko, żeście o biednej siostrze Probantce zapomnieli w pośpiechu, która pewnie aż do tej chwili czeka z tobołkiem przy furcie.

— Tak mi tej Kasi żal! możeby wrócić po nią jeszcze? bo jakże ją, w podziękę, zostawić temu klasztorowi, tyle znienawidzonemu...

— Daj pokój, miła! Będzie ona dalej wyśpiewywała swoje wdzięczne tryle, od których włosy stają na głowie pobożnym mniszkom i tak się będzie mściła na nich za niewolę, aż do śmierci. Bo że jej nie puszcza, choćby za dożywotnią karę, to pewna.

— ...ona przecież dopomogła nam głównie... ona wszystko nagotowała...

— To i cóż?! Od tego jest cham i poddany, aby panu służył. Daj pokój! jedźcie w świat.

Opadła jego piękna, młoda, rasowa głowa na poduszki, ale oczy nie odrywały się od kobiecej postaci, stojącej przy nim.

— Ej ty mój bluszczu, mój powoju! ty złotozielone, dzikie wino moje! Ty jedyny mój dobry uczynku — świeżości ciągle radująca mi skronie. długi, nieustanny wykrzyku szaleństwa młodego.. — mówił coraz wolniej i żmudniej.

— Wytrzymały, rozkoszny ptaku mój! Pod twardą moją piersią, pod zmienną gładzizną ciała, wali moje serce dla ciebie aż do skonu. A skon już blisko.

A żeby cię całą poszarpał, pogryzł, podał

pieszczotą, nie rozwiążę tego kłębka czułości, co się zaciska koło serca, jakby udusić miał...

— Co on mówi?! — szepnęła ze strachem młoda pani.

— ...zamknę oczy, a pod powiekami, tak blisko i tak daleko, ty będziesz wciąż i wciąż, iść, zbliżać się, odchodzić i znowu zbliżać...

— W malignę już popada — stwierdził uroczyście medyk.

— Nie odchodź! — rzucił biskup głosem, który się rozprysnął o ściany, jak kryształowy kielich, ciśnięty o podłogę....

Ale młodzi już szli precz, w zalęknionym bezładzie i radosnym pośpiechu.

S O B O L E.

...Pomknij się lisie,
siedzi tu soból.

M. Rej.

Na balu w Bucniowie, u pana Piotra Potockiego, wystąpiła panna wojewodzianka lubelska w wyciętej mocno sukni.

Nożenkami z koralu jadano w ówczas w Polsce. Koni było w każdej pańskiej stajni więcej, niżli tomów w jego bibliotece. Co światlejsi wiedzieli, że kaplicę sykstyńską w Rzymie malował archanioł Gabriel i że orbis terrarum kończy się, może nie o wiele dalej, ale w każdym razie nie na Porohach. Szabla była ciągle jednostką mierniczą.

Z niewiast podpisać się umiała co dwudziesta. Trefić włosy umiała każda.

Haftowały wierzchy do czapek, ornaty sztywne, i suszyły zioła apteczne, umiejętnie: dzięgiele, bugwie, ślazy i kopytniki. Każda wiedziała, że jaszczurka żywcem posiekana, w oliwie usmażona i z żółtkami jaj precedzona, tworzy maść przednią na porost włosów — że na Wielką Chorobę dziecinną skuteczny jest tylko kret, spalony w cynowym gar-

nuszkę i na proszek subtelny ususzony — że kobiecie nieplodnej pomoże tylko woda, owa, która płynie z ust konia, na ten czas, gdy pije. Każda wiedziała, że święta Apollonia jest patronką od bólu zębów, święta Syra od kamieni żółciowych, a święty Andrzej od apopleksyi. Każda wiedziała, że wianek z rosiczki pomocny dla bydła — z bylicy od gruchołów — z józefku od bólu gardła — z targownika przydatne dla jarmarczących — z piwonii dla kurczów żołądkowych, a z wrotyczu dla słabości niewieścich.

Przystojność nakazywała niewiastom ukrywać starannie wszystkie ciało, wyjąwszy twarzy i rąk, toteż zdumiał się wielki świat szlachecki, gdy na balu w Bucniowie, u pana Piotra Potockiego, wystąpiła panna wojewodzianka lubelska w wyciętej mocno sukni.

Widywano już tego rodzaju nieprzystojności w Warszawie, gdzie rządziła moda francuska, przez jejność królowę przywieziona, ale na wsi, we dworzyszczu szlacheckim, jako żywo nie widziano czegoś podobnego.

Głośno się gorszyć jednak brać herbowna nie śmiała, zbyt możnym był bowiem ród Potockich i Firlejów, a zresztą mówiono o panie wojewodziance lubelskiej, że dnie jej policzone. Płuca miała chore, czy serce — urzekł ją ponoś jeden tatar wzięty w niewolę. Wzywano do niej wszystkich medyków świata — dawano dekokty z drzewa

sandałowego, piła mleko gęstowane z bluszczowym kwiatem, w śmietance wielbłądziej ją kąpano, pełnej kwiatu grzebieniowego, koralu tartych i cytwarowego ziała. Okadzano ją myrrhą, wprost z Jerozolimy przez astrologa królewskiego przywieziona — nie pomagało nic. Resztę tedy życia wodziła sennie po okolicznych dworach, małomówna, pogardzająca człowiekiem.

Woli umierającego przeciwić się nie można — więc nie przeciwił się jej rodzic, pan Piotr Firlej, skwapliwie spełniając każdą jej zachciankę, przez palce patrząc na jej wymysły. Była dzieckiem jego ostatniem, jako że obaj synowie na polu, w potrzebie z Turkami, zginęli.

Niemniej osłupiał, gdy na tle groźnych szyszków, tarcz, buław hetmańskich, koncerzy, multan i buzdyganów — na tle kołtryn szacownych, w rycerskie przygody malowanych — gdy załśniła biała, pańska skóra jej ramion, obnażonych głęboko, aż po rozdział wątlých piersi.

Młodszy otworzyli usta i patrzyli w nią z tym zabobonnym lękiem, z jakim patrzymy na młódki, na katafalku leżące, cudacznie przybrane w wieńce i welony.

Szczególny przebiegł szmer przez komnatę, gdy stanęła pod olbrzymią meluzyną i płomienie świec w nią uderzyły, od których poróżował splendor

jej ramion, a wyzywający kanak z pękiem fenikso-
wych piór, rzucił blask stokrotny na bogaty, sztywny
szyszak jej włosów i na bramkę z kałakuckich pereł,
przecinającą jej czoło.

Ręce jej nie wyciągnęły się do nikogo. Cienkie
i zziębłe, w rękawy się od dotknięć i pocałunków
chroniły.

Salę przeszła wzdłuż, arogancka, nie odpowia-
dająca na pytania, interpelująca niegrzecznie i wzgar-
dliwie, zresztą obojętna i jakby z zaświatów zeszała,
a nie w zaświaty idąca. Uśmiechnęła się do psa,
który siedział za panem Koniecpolskim, poza tem,
wzniesionemi brwiami — dwoma płatkami złotego
pluszu — nie przestawała się dziwić niezmiernie
zebranych gościom, chodząc tam i napowrót.

Inaczej z pewnością nie chodziła po lesie, albo
po gęstych szpalerach swego ogrodu.

Najpierwszym magnatom, sunącym do powitania,
zaledwo głową kiwnęła, zdaleka patrząc przepyszną
magią swych zimnych, zamglonych oczu na ich za-
żenowane zdumienie.

— Książę pan na Nieświeżu kłania ci się,
córko — szeptał ojciec.

— Widzę, — odpowiadała obojętnie i odwracała
głowę, lub nieznacznie nachylała ją w ukło-
nie, który był raczej óbelgą.

Sojki szlacheckie, tak zazwyczaj rozmowne, mil-

czały zestrachane, żegnając się w duchu krzyżem świętym, gdy przysuwała się bliżej owa grzeszna wizja nagich ramion. Pocięchą im była myśl, że to owej dziewczyny bal zapewne ostatni.

Znikła im zresztą z oczu za kotarą z perskiego altembasu.

W drugiej sali mniej rojno było i okna poroztwierane naościę, dla duszności, na którą cierpiał pan hetman Potocki.

Rzezane krzesła tuliły się do ścian, do kłębiących się labrów herbowych. Nadproża zdawały się sypać na głowę wchodzącym złoto-zielone pióra kogutów, które się biły tak od stu lat, zaklęte w drzewo. Blachą srebrną powleczone stoły, zamczyste skrzynie, zegary, przez szacunek nigdy nie-nakręcane, wszystko to czyniło salę małą, nabitą, ścieśnioną, tak, że czekało się tylko, kiedy ze ściany prawej wyciągnie ramiona piękny, acz ze skóry odarty rycerz w szerokich pludrach i padnie w objęcia bogobojnej mniszki, wzywającej niebios na ścianie lewej, aby świadkiem były jej zagrożonej niewinności.

Panna wojewodzianka patrzyła w ogród, cały rozświetlony pochodniami, które trzymały kupidyny, tak nagie prawie jak ona.

Światła powlekły ogród welonem, pyłem przesypały szpalery i rabaty. Delfiny, wyrzucające z paszcz

wodotryski, posiwiały, a dną ich pysków rozwar-
tych, jak straszne, czarne wrota, tworzyły plamy
ostre w mglistych, białawych zarysach basenu.

Na gładką taflę nieba wypryskiwały gwiazdy,
jak wyłuskiwany ze strąków groch, jedna po dru-
giej, a zielonawy półksiężyc wyszedł i zatrzymał
się akurat na szczycie szklanej wieży, czyniąc z niej
przezroczy meczet.

Bożek pogański, zamieszony, z wieńcem róż na
głowie, nachylał się z cokołu i patrzył w oczy
panny wojewodzianki. Tors jego odbijał się w wo-
dzie, a ręka ginęła w mroku.

— O pójdz do winnic pańskich, chora królowno.
Choć jest zimno, od oczu twoich staje szron i wino
się rozżłoci. Podasz winu i mnie do rozkoszy usta...

Przypomniała sobie nagle, jak jej dziś podzię-
kował Turek jeden ranny, za jałmużnę. Nie powie-
dział: „Bóg zapłać“, ale pochylił się do ziemi
i rzekł:

— Niech cię wynagrodzi miłość tego, o którym
myślisz...

Nie wynagrodzi jej więc nikt, bo o nikim nie
myśli.

Raz we Włoszech, z ojcem jadąc do papie-
skiego medyka, widziała lwy w klatce. Lew, zło-
żywszy nogi przednie na krzyż, wyciągnął się, senny,
najedzony, przymrużonemi ślepiami patrząc przed

siebie. W przegródce obok zarta jeszcze lwica duże, krwawe ochłapy. Po chwili wypadła w podskokach do przegrody samca — ogon naprężyła, złote cielsko wygięła w rozkoszy dokonanej uczy i, pochyliwszy łeb niewolnicy, liznęła trzykroć łapy lwa.

Nie dziękowała mu za dary spożyte — (wiedziała, że je przynosił brodaty dozorca) — ale dziękowała mu za radość z darów spożytych — za możność radowania się — za radość życia. On był wyraźną przyczyną jej prawa do radości.

Tak zrozumiała lwicę panna wojewodzianka i poczuła zdziwienie, że mogła się cieszyć czymśkolwiek, ona, nie mająca nikogo, komuby dziękować za radość mogła. Nie zostawi za sobą niczyich oczu miłych, niczyich ust słodkich — nie oparła o niczyje ramię głowy dumnej i niepokalanej, nadążając własnym sercem za biciem czyjegoś serca.

Wyrodziła się zapewne.

Była jakimś gołębiem o trzech skrzydłach — jakąś sarną o błękitnych źrenicach — jakąś pomyłką natury, czy jedyną jej prawdą, pośród pomyłek.

— Nie zaziębisz się, Marzeńko? — spytał nagle usłużny głos.

Obróciła się niechętnie.

— Bo ja wiem? Może się i zaziębię... — i patrzyła dalej w ogród, jak w topiel.

Tymczasem rozchichotała się nieunikniona galardea, na trzynastostrunnych altówkach, sztortach i flekach. Pary ruszyły w tan. Zgiął się przed nią w kabłąk pan Jędrzej Kazanowski, podała mu rękę i poszła za nim jak widmo, królewską głowę niosąc wysoko ponad rozhuśtany tłum.

Co chwila przebijał się blask jej ramion, poprzez zwartą, stubarwną gromadę, tymbardziej ciepły i jasny, im bardziej złotogłowia i aksamity były zimne i surowe.

Co chwila majaczyła jej twarz liljowa pośród zgrzanych lic tancerzy i krzyczał rozdźwięk między tą zaświatową, dumną, niełaskawą twarzą, a ciepłą, jasną, ludzką zjawą jej obnażonych ramion.

Tłum zaszyty w złotogłowia stawał się dla niej coraz bardziej tym, czym futro dla rubensowskiej Heleny Fourment, ze słynnego portretu: spotęgowaniem jej nagości.

Obnażano ją coraz bardziej. Ludzie, światło, muzyka, poczerńnięte ściany, wszystko pracowało na to, aby nagość jej ramion występowała niesamowiciej i brutalniej. I snuła się plamą jasną, za którą biegły zestrachane oczy, i w lot chwytały ją coraz to inne ramiona, prowadząc w nieprzerwany tan.

Atmosfera rozgorzała i rozżętniła się.

Pan Szczęsny Sulatycki, dworzanin panów Potockich, przebiegł salę i stanął przed nią. Dyszały

młodością jego rysy, wrzały kipiátkiem pogody i siły jego źrenice.

— Miłościwa panno, czy mogę prosić?

Spojrzała mu w głąb oczu, krótką, dorywczą ironją. Od brwi do ust przeleciał jej uśmiech szczególny i podała mu rękę.

Zakołysali się lekko, w takt luteń i padwanów — daleko się od siebie trzymając.

Rezedą pachniały mu jej młode ramiona, struchlałemi ustami wchłaniał ją całą, jak hostję — zataczając się na myśli, że sprofanował świętość katalalku, naruszył powagę śmierci, szacunek winny umarłym, skoro trzymał to pajęczce cudo przy swej piersi. A jednak grała krew pod jedwabną skórą jej obnażonych ramion — więc mówił jej bez tchu i bez słów:

— Kładziesz nieśmiertelniki, aby był grób, bo przecież niema grobu. Niema grobu. Rozwarła się ziemia i pochłoneła wszystkie cmentarze...

Coraz bardziej pachniały mu rezedą jej młode ramiona, ale oto zatrzymała się zmęczona, przed gromadą dworzan i oficerów.

Pan porucznik Dobek-Łowczycki śpiesznie podsunął jej krzesło. Siadła, oparła głowę o gobelin i przymknęła oczy. Wówczas pan Łowczycki zwrócił się ze śmiechem prowokującym do Sulatycznego.

— Chciałbym, abys waćpan tyle odwagi okazał w polu, co dziś na niniejszej sali.

— Jak to?

Łowczycki wciągnął go za rękaw do sąsiedniej sali, pod koguty, wydzierające sobie pękami złotozielone pióra. Reszta dworzan i oficerów poszła za nimi.

— Błazen jesteś — plunął mu w twarz. — Myśmy oficerowie, a przecież nie śmieliśmy prosić do tańca pannę wojewodziankę, a ty, dworska polewko, śmiałeś z nią tańczyć, z wnuczką hetmana wielkiego koronnego?!

Potakiwali oficerowie, milczeli dworzanie. Sulałycki zbladł. Rozumiał i nie rozumiał. Odczuł nagle nie gniew do Łowczyckiego, ale szalony, nieugruntowany, rozpaczny żal do panny wojewodzianki. Zdławił go ten żal, a w krwi cisnącej się do oczu błysnął mu majak uśmiechu jej niełaskawych, niemiłosiernych ust, gdy ręce do galardy mu podawała. Następnie — zupełnie machinalnie, drogą niejasnej przyczynowości, jak gdyby czynił rzecz, absolutnie poza obrębem potrzeby i konieczności stojącą — sięgnął do szabli.

Skrzyżowały się wartkie, obelżywe słowa, skrzyżowały się i miecze.

Wśród szumu tanecznego i chichotu muzyki nie dosłyszano walki. Biły się koguty na nadprożach,

bili się ludzie na szklących taflach pawimentu. Ktoś wrzaskliwie deklamował w drugiej sali:

Włoski mieszkańcze, cóż twoje nektary,
Cóż twoje wina, przed nektarem Rusi?
Wino jest z ziemi błotnistej i szarej —
Miód prosto z nieba spuszczonej być musi...

Tymczasem runął Sulatycki nawznak, łeb odbił mu się o czarny marmur odrzwi, o jakiś labr Firlejowskiego herbu i zesunął się na podłogę*). Łowczycki wycierał szablę o czerwień płaszcza (na której krew nie pozostawia śladu) i wtedy właśnie stanęła w progu panna wojewodzianka lubelska, wsparta na ramieniu ciotecznego brata.

Oficerowie jęli się tłumaczyć pośpiesznie — dworzanie milczeli. Pan Lasocki zmarszczył brwi. Trochę niesmaku, trochę niezaradności zabłysło w jego oczach:

— Jakkolwiek ono jest, za drogo go kosztował, Marzeńko, ten zaszczyt tańczenia z tobą..

Panna wojewodzianka popatrzyła na trupa, a potem w okno — znowu na wieżę szklaną, od której oderwał się księżyc.

— Tak sądzisz, mości podczaszy? — rzekła z rozłargnieniem.

*) Zajście historyczne, podane w agr. Trembowelskich, powtórzone w „Prawem i lewem“ Łozińskiego.

W S P O M N I E N I A .

S kowyczało morze, sypiąc grzechoty fal na brzeg. Z pańską miną zanurzało się w nie słońce, czerwone jak upiór, a dreszcze biegły po mokrym stepie, wzdłuż od tarczy jego — migotliwe, jak na zbutwiałym złotogłowie chorągwi, wiatrem poruszanej, na którym gdzieniegdzie jeszcze rozbłękitnieje spłowiałość — czasem topazowy cień zabłyśnie, zieloność niespodziana, wśród szwów rozprutych, wśród załamania i zagieć.

Desenie jakieś tajemnie układały się na tafli morskiej, szachownicą dziwaczną. Zygzaki jowiszowych piorunów — fioletowe pastorały — gryfy heraldyczne — czapki frygijskie miały się purpurą — przeleciał wąż skrzydlaty perłowej barwy — kwiat jakiś rozteczowił się nagle wachlarzem, a na brzeg szła piana, wino musujące, złotawo-białe; puch z łabędzi, które potonęły, gdy z jeziora stało się morze — pukle włosów dryjad, które osiwały na dnie oceanu, czekając, aż się znowu morze stanie jeziorem, a jezioro łąką: zielonym polem harcowań dla dziwożon i faunów.

Trzewiki moje dotykały brzegu.

Zdała widziałam, jak wzbiera wał ogromny wody, i wali na mnie wprost, w kabłąk zgięty, rogami piany zdała bielejąc...

Miasto-by rozniósł w puch!!

A oto przybieżawszy, rozbryzguje się i delikatnym, zbielałym językiem liże moje trzewiki.

Powtarza się to raz po raz, tak, że wyobrażam sobie wkońcu, że ono burzy się i toczy i wypycha fale na brzeg — od milionów lat! — po to tylko, aby liznąć moje trzewiki, cicho i smutnie.

Och morze! Słodkie, straszne morze! Potoż twoje wysiłki centaurze, szalone skłębienia, grzywy pian, flagi roztęczeń?!?!

Ty — — i trzewiki moje?!?!

Zamordowano przeora w celi. Sam jeden mieszkał, ostatni mnich tej reguły, ostatni w tym klasztorze.

Dusił pieniądze, zbierane od lat, trząsał się nad rulonami złota — darami tysiąca dni za opowiastki z tysiąca nocy. I zamordowano go, aby wziąć rulony złota.

Wynieśli go do kościoła, w rozgwarze podnieconych tłumów — całego purpurowego od krwi, a tłum, wietrzący ją, zapragnął jeszcze krwi — jeszcze trochę. O krew mordercy się modlił przed katafalkiem, a z nim: księża-koledzy.

Niechlujna cela, zawalona pościelą, papierami, ubraniami. Na ścianie krzyż, świadek, na podłodze kałuża krwi, kozuchem powleczone, od łóżka idąca, aż do drzwi.

— Niech pani uważa — mówi mi ktoś — bo zawala sobie pani trzewiki.

Stoję tuż nad kałużą. Ścieli się ku mnie brunatnym kobiercem, do trzewików moich zdążając.

Przypomina mi się morze — słodkie, straszne morze, które obłąkane waliło czerepami fal, z siłą zdolną rozbić fortece, a przybieżawszy, liznęło tylko moje trzewiki czarne...

groźbę wyteżeń zamieniając na cichy giest...

tragiedję poczęć kończąc zdawkowością smutku.

Sala tłoczy się od ludzkich głów. Trybunał ciska ospale pytania świadkom i oskarżonemu. W ławie przysięgłych, jak na łanie zboża pod uderzeniami wichru, wznoszą się czasem głowy, a czasem opadają znużone na ramiona i piersi.

W pomroce, na ścianie, tonie milcząca twarz krągłego zegara, a gwar się sroży, gdyż na zgrabne podejscia prokuratora pląta się oskarżony.

Ostatecznie występuje najważniejszy świadek — właściwie jedyny — upierający się przy tym, że o godzinie dziesiątej w nocy oskarżony był u niego

i do dwunastej siedział, że więc nie mógł popełnić mordu, który wykonano o jedenastej.

Staruszek to, ów świadek. Może ośmdziesiąt lat, może dziewięćdziesiąt mający, zgarbiona mumijka.

Grdyka mu lata przy zeznaniach, oczy mrużą się pod szczeciną brwi, a te są koloru herbacianych róż.

(Daruj, o różo! pałacowy kwiecie, że cię przyrównuję do chłopskiej szczeciny!).

— Mówicie, ojciec, że była wtedy dziesiąta, kiedy Piotrowski wszedł do was?!

— Dziesiąta! — utrzymuje stary.

— Skąd wiecie, że była dziesiąta?

— Ano, a od czegoż dzygar, proszę łaski sądu.

— Macie zegar w chacie?

— Mam.

— Rozumiecie się na zegarze?

— Rozumiem się — przytwierdza stary pogardliwie.

— Jakże dopatrzycie godziny, skoro źle widziacie?

— Dopatrzę.

Przewodniczący zamyśla się.

— No to może nam powiecie, która teraz godzina? — oświadcza wreszcie wskazując zegar wiszący w pomroce na ścianie.

Ślyszę naraz wyraźnie, jak uderzenia młotem,

tykanie zegara, a widmowo czernią się dwie iglice nad głowami sędziów przysięgłych, znaczące: *dziwiałą*.

Stary podchodzi bliżej. Ma nieuchwytny wyraz wyższości, ale i pogardy. Lecz zegar tonie w pomroce, więc śpiesznie chwyta przewodniczący kandelabr płonący ze stołu i ruszają wszyscy, ławą, pod ścianę, wysoko niosąc kandelabr.

— No, ojciec, która godzina?

Zegar tyka brutalnie, jak gdyby mu serce rozsądzić chciało blaszaną kłateczkę piersiową. Nasze serca biją do wtóru i wszystko zawisa na ustach starego.

Stoi stary i patrzy w zegar. Waży sobie zagadnienie. Lata mu grdyka i brwi. Wstaje też oskarżony i patrzy niespokojnie w zegar, z którego białej, niewinnej twarzy może paść wyrok śmierci na niego, nieodwołalny. Istotnie nieodwołalny, bo do ratunku pozostaje mu tylko zeznanie starego.

Zegar tyka coraz głośniej, persona teraz ważna i strach szerząca. Widziałam gdzieś kiedyś inny obraz.

Malutka markiza, wyściskana atłasowym stanikiem, różowiułka i drobna, czeka o zmierzchu na niego, na kawalera fijołków, czy róż. Wie, że przyjdzie, że czekanie nienadaremne, więc dołeczki formują.

się dookoła ukarminowanych lekko ust, a bławatkowe oczy podnoszą się raz po raz na zegar, na trymucie. Z alabastrowych kolumnienek jest on. — Marmurowy kupidynek strzela doń z łuku dla wprawy, czy dla zatrzymania wskazówek. Nagle zaczyna zegar dzwonić i grać. Menuecik jakiś radosny, musetkę figlarną, pełną tremolandów. Buzia małej markizy rozjaśnia się, a nóżki w atłasowych trzewiczkach biją takt na puszystym dywanie — niecierpliwe — niecierpliwe.

Leżą już w zbutwiałych trumienkach małe markizy — poustawały zegary, wydzwaniające menuety i sarabandy. Oto co innego wydzwonić ma zegar. Wskazówka posuwa się o minutę. Stary stoi ciągle i patrzy, jakby jeszcze wiek zamierzał stać i patrzeć. Wreszcie jednak odzywa się jego obojętny, lekko ironiczny głos:

— *Dziewięta.*

Och, kiedyż przyjdzie czas, że życie ludzkie nie będzie zależało od jednej pary starych oczu, co za ledwo widzą?...

GOŃCE CZARNEJ KRÓLOWEJ

Całe w centki świetlane jest morze pod nami,
jak drobniutkim listowiem drżący krajobraz.

Gdzieś daleko już jest brzeg, od któregośmy odbili — brzeg ryjący się w morze, niby szpon drapieżny, niby rycerska ostroga. Słodycz leży nie-ludzka w tym cichym, zatroskanym, brzegi niewidzialne całującym morzu. Okręt nasz sunie bez szmeru. Zdaje się, że on stoi w miejscu, na emaljowanej tacy trzymany, rozmyślając, w którą stronę popłynąć. Śruby pracują milcząco, bezgłośnie, ząbiając się jedna o drugą.

Cudni w naszych balowych toaletach, mundurach, frakach, wśród pióropuszy kwiatów i świateł pokładu, zdajemy się rozmyślać razem z nim.

Nigdy ramiona kobiece nie wydawały się bielejsze, niż w tej chwili na tle morskiego, granatowego całunu, wtłoczone weń jak gdyby przemocą — nigdy twarze ludzkie nie były bardziej helleńskie, ruchy bardziej monarsze, uśmiechy bardziej senne, subtelne i zagadkowe.

A rozmowy, płynące ze wszystkich stron statku,

wydają się tak, jak by przedystylowane przez tysiące sit, potrząsanych nierówno — nikłe, poufne, nic nie znaczące wobec ogromu morza i nocy, tej nocy, której jedyny blask umiejscowiamy my, piorunami naszych lamp okrętowych.

Słucham rozmów poszczególnych i zbiorowych w półwizyjnym, pobłażliwym milczeniu. Pary się snują widziadłowe, oczyszczone z pyłu ziemi.

Z prawej strony nad balustradą pokładu nachyla się profil kobiety, wyrafinowany w twardej, bezwzględnej białości swojej i dumnym grymasie. Szyję ściska obręcz klejnotów, a na płaszcz z czarnego aksamitu spadają długie do ziemi wyloty chinchilowe, czyniące złudzenie dwojga pudrowanych skrzydeł.

Ku tym skrzydłom zwraca się asyryjska głowa jakiegoś poety, latające nozdrza i oczy schowane w głąb czaszki.

— — — ...długo szedłem wtedy po schodach, — mówi jej półgłosem. — Trudno! bawimy się w Chrystusów, więc urządzamy sobie drogi krzyżowe z parteru na pierwsze piętro, a tragiedja na coraz wyższym stopniu, coraz bardziej wzbiera jak powódź... Wiem o tym, że posiadam niezrównaną sztukę żonglerstwa stylu i że mógłbym pisać o stosunku pryncypalnym parasola do pieca, a jednak byłem mętłym wtedy, kiedy mówiłem do pani... Obliczam

dziś: oto mam duszę, która dobrze wie, że jest lepsza, niż te naokół. Pani znakomicie wie, że duszą jej powinny się szczyścić ściany waszego domu, gdyby wasz dom słońce miłował i nie zabijał okien tarczą herbową. Nie przerywaj pani. Ja liczę. I jestem pewny, że, prędzej czy później, któreś z nas byłoby drugie odnalazło. A czy to nie jest dziwne niezmiernie, że nas ze sobą nikt nie poznawał? Czy to nie dziwne, że ile razy kto zaczynał rozmowę o pani, przerywałem mu niecierpliwym gestem, aby czasu nie tracił, bo ja znam duszę tę, jak własną?!... Wszystkie poematy moje trzymałaś ty, pani, do chrztu...

Profil nie porusza się z nad skrzydeł pudrowanych — ledwo raczą mówić usta kobiece, szczególnie, prawie przez zęby, jakby za leniwe, aby się rozchylić:

— — — ...warunkowy to musiał być chrzest, od słów się poczynający: si tu es homo...

— Nie drwij, pani...

— Ach nie, nie drwię, ani zapominam, że z niewiadomego mi bliżej źródła mam moc trącania pióra. Tak jest. To nie zarozumiałość. Dante byłby dla mnie poemat napisał, choć byłby mi naurągał w ostatniej stronie. Tylko — ptak latawiec, nie zatrzymuję się. Lecę dalej. Rezonansowa nie jestem, dźwięków wzmacniać nie umiem, ani chcę.

Ale on potrząsa kilkakrotnie głową, przerywając:

— Powiedz pani słowo jedno, które z ciebie jest, które z duszy twojej jest, bo to, coś dotąd rzekła, nie było z ciebie, tylko z ust twoich.

Milkną, jakby nagle zasłuchani w „Jimbo's two step“, które grają murzyni — dalej, głębiej, w cieniu smukłych masztów. Po chwili jednak mówi on znowu:

— Pani jest już tą duszą, która do wniosku doszła, że Chrystus dla tego cierpiał, że mu to sprawiało rozkosz. To logika fakirów i przeczulonych kobiet, ale powoduje ona najboleśniejże ekstrawagancje, jeśli medjum odnośnie tejsamej nie wyznaje zasady. Tak pani. Może być, że znudziłem panią zbytkiem poezji i smutku, lecz mi pani sprawiedliwość przyzna, że nie znudziłem natręctwem. Upiłem się panią, jak najszlachetniejszym poetyckim chianti toskańskim, lecz nie dałem odczuć pijackiej czelności...

— Kto jest ta pani, o pudrowanych skrzydłach? — pytam siedzącego obok mnie młodzieńczego dżentelmena.

— Ta, z asyryjskim poetą? Ostatnia to latość jednego z najpiękniejszych rodów na kontynencie, z tych, co nosiły ostrogi za czasów wojen krzyżowych, a czerwone obcasy za czasów Richelieu'go. Ród ten zapragnął mieć poetę w drze-

wie genealogicznym, jako że opryski już w nim bywali.

— Czy zapragnął, to niewiadomo, bo dumna pani, o skrzydłach pudrowanych, trzyma się w ogromnej rezerwie.

— Mój Boże! trzeba przebaczyć Łukaszowi wołu, Mateuszowi człowieka, Iwa Markowi, Janowi orła, a pięknej kobiecie muchę na nosie...

Uśmiecham się, nieprzekonana.

— Zaręczam panu, że to nie mucha na nosie u niej. To zimna, bezcelowa kokieterja, nic więcej. Ale pan za młody jeszcze, aby przejrzeć wyrafinowość gry kobiecej.

— Przykro mi, żem młody, ale widzi pani, tyle mam doświadczenia, że znakomicie udaję niedoświadczonego.

Uśmiecham się powtórnie, ale przekonana, w takt głową kiwając warjackiej, demokratycznej nucie cake-walka.

Uczuć dostojnych, archaicznych, matrony godne chwalaćcych, wyrazem był polonez. Swawoleń salonowych, lekkich, wytwornych — kokieterji, zaszczającej się i... kończącej na pokazaniu białego pantofelka, menuet był wyrazem. Marzeń zmysłowych, lubieżnych — zaczynających się od pokazania zbliżka nagich ramion, wyrazem był walc. Nutą wskrzeszającą Lesbos jest tango. Nutą de-

mokratyczną, komunizm miłości głosząca, jest cake-walk.

W takt kiwam głową warjackiej, demokratycznej nucie cake-walka. A poeta szepcze dumnej pani o pudrowanych skrzydłach:

— Uplotę sobie sieć z rojeń czystych, z marzeń złotych, ze snów, które tęcze jak rdza przegryzły, ze słów w rytm madrygałów, które królowie mówili w noce miesięczne królewnom, i pójdę łowić duszę twoją dobrą — dobrą, tylko nie mogącą się wplątać w koralowe krzaki i zatrzymać na chwilę — niespokojną duszę twoją, rzucaną przez topiel na wszystkie strony, a ruch wieczysty jest tylko Francesce dantejskiej do twarzy...

Niezrozumiały i zagmatwany staje się poeta coraz bardziej, podczas gdy zgiełkowie, hilarycznie, nerwowo wybucha „Valse Rouge“ na pokładzie.

— Milczy pan znowu? — pytam towarzysza.

— Milczę i słucham. A że tam tyle o duszy mówią, rozmawiam z własną duszą. Ale dosłownie proszę tego nie brać. Dusza moja umie zaledwo powiedzieć: „papa“, „mama“, „przyjaciół domu“, „tak“ i „nie“.

W tej chwili zbliża się do nas jakiś problematyczny kulturträger, dowodząc drugiemu kulturträgerowi, że człowiek, mający poniżej 50.000 marek dochodu rocznego jest świnia, bo mu nawet na mydło nie starczy.

Potym przesuwa się cudna para Gruzinów — dwa bogi olimpijskie.

On zdaje się jej mówić oczami:

— Oprzyj główkę o me ramię... Będę ci prawił o smaku marmurów, z których wykuwają posągi... Będę ci prawił o zapachach planisfer, rozwiniętych w orbitach bytu, z którego rodzą się bogi...

Prawią jednak o najnowszym fasonie trzewików balowych, które mają być z atłasu i trójkąty mieć na nosie szczerozłote.

Ona uśmiecha się, jak tylko posągi śmiać się umieją — dziwną jasność swojej twarzy zwracając ku niemu, taką jasność, jaką mają zmarzłe tuberozy. Szklaną jasność.

Smuga, zda się, za niemi zostaje. W tę smugę wchodzi zaraz inna spacerująca grupa: elegancka pani i mniej elegancki pan, który drwi:

— Nie wierzy mi pani? Szkoda, że się nie urodziłem w hrabiowskim pałacu. Byłoby to dla mnie o tyle z korzyścią, że wierzonoby mi zawsze. Hrabowie mają ten społeczny przywilej, że kiedy co mówią, nawet kelnerowi, to się każdy, nawet kelner, uśmiecha jednym okiem. A żem jest człek pospolity, więc musi się mnie podejrzewać o literaturę, o poezję, nawet w wypadkach smutnej prawdy — bo przecież nie będziemy hrabiów posądzali o... poezję?!

Przeszli, a tuż za niemi modli się głos młody i drżący wzruszeniem:

— Szczebiocz mi rozkosznie, ty moja jasna, o wszystkich tych akcesorjach życia, co się Debusym, lub kwiatem storczyków zwą...

A inny ciepły baryton radzi:

— Nie myśl o literaturze, pisanej przez dzieci dla staruszków. Nie myśl. Nie trzeba. Jest jej i tak za wiele. Sądzę, że nawet więcej, niż książek dla dzieci, pisanych przez starców. Brak tylko literatury... dla ludzi. Z całej mojej struktury duchowej, z tego wszystkiego, co stanowi jaźń tak zwaną, marzy mi się życie i twórczość, stojące na przeciwległym biegunie do wszelkich pierponsizmów życia i twórczości ówczesnej. Pragnąłbym pisać krwią, wycelowaną z ran bohaterów i z roześmianych ust dziewczęcych.

— A ja o nikłości momentów pragnąłbym pisać. Przychodzi u każdego w życiu taki moment jeden, szczytowy, superlatywny, w którym ześrodkowuje się, nie szczęście jawne, burżujskie, opatentowane jako szczęście — ale te wszystkie upodobania człowiecze skryte, nieprzeparate zachcenia, niewymowne, najtajniejsze programy egzystencji — w spełnieniu, lub złudzie rzeczy spełnionych. Nikłość tych momentów mnie czaruje.

I znowu głos miękki a hardy dowodzi:

— Skoro sami stać się falą, żywiołem, nie mogą czy nie chcą — niech staną się muszlą czy też rekinem, a napewno bez myślenia o niepodobieństwach osiągną jasny brzeg... Skręcam sobie coraz mocniejszy, coraz delikatniejszy pejcz (z tego nadmorskiego piasku) i śpię spokojny tu, w cieniu własnej odwagi, w cieniu barbarzyńskiej wiary, co wywraca wszystkie figurynki z plasteliny, na cieniutkich obcasach zalotnie stojące — szukając tylko siebie samego. Ale tych, co się figurynkami bawią, pasjami lubię. Są oni jak gdyby Napoleonami, Zaratustrami... nawspak. W chaosie żyłem pragnień i żądań, ale nad tym chaosem panowała zawsze wola moja, to tajemnicze wszechwiedzące chcenie, rządzące ruchami mojemu, poza granicami mej do-
rażnej dostrzegalności.

— Powie pan, zem gęs — dzwoni miły sopranik koloraturowy. — Nie szkodzi. Owszem. Może pan bezpiecznie żonę wziąć z ręki mojej, boć przecie te żony najlepsze, co się z pod gęsich piór wykłuły.

Krzyżuje się ten sopranik z posępną formułą tragedji:

— Pani! Rzeczywistością moją są same nierzeczywistości: kompleks spraw, stosunków i zadań, którym nie przyznaję racji bytu, a nierzeczywistością

dla mnie jest jedyna moja rzeczywistość, to jest życie moje duchowe, do którego od lat powrócić nie mogę.

W tę spowiedź wpada niedorzeczna informacja:

— On? to przyjaciel mój, któremu wszystkiego życzę, nawet suchej gałęzi...

I starzec o zsiniałej twarzy dyszy, nachylony nad różową buzią młodziutkiej, smutnej dziewczyny.

— Nie odbiegamy daleko od siebie, stokrótko, w kwestjach miłości. Zwracam tylko uwagę, że w oddaniu się z miłości niema większej etyki, jak w oddaniu się bez miłości. Jest tylko większa rozkosz... jest najwyższa pomyśleć i odczuwać się dająca rozkosz...

Ona przeczy temu, ledwie dostrzegalnym ruchem głowy, pokornie i smutno. Niewątpliwie będzie musiała wziąć od tego starca ową najwyższą pomyśleć i odczuwać się dającą rozkosz...

Valse Rouge ciągle bucha jak aromat, pomiędzy gwar ludzkiej rozmowy — zgiełkliwy, hiliaryczny, nerwowy, prawie w takt słowom młodego Polaka o chopinowskiej twarzy:

— Nie wierzysz, pacioreczniku mszysty, w muzykalność naszych babuń lekkomyślnych z czasów króla Stasia? Miały szpineciki z palisandru, a serca z mniej twardego materiału. Peuh! zgrało się i to

i tamto... — Zaś urodziwy, arbitralny trybun kończy rozpoczętą dyskusję :

— Estetyczny jest tylko efeb smukły. Dała go nam Grecja, gdy jej światem rządziła pogodna, helleńska kultura. Gdy w Rzymie zaczęła rządzić kobieta publiczna, gdy się stoczyły w błoto bogi i bożątka, wszczęła się adoracja dla gladjatorów, dla muskułów jak liny okrętowe, dla kłębiska żylastych narośli...

Obok mnie rozsiada się grupa wykwintnych Francuzów, rozmawiając w przeciwieństwie do tego całego bujnego życia, do tego śmiejącego się Czerwonego Walca — o... śmierci, o rytuale pogrzebowym rozmaitych narodów, o sposobach komunikowania się z umarłymi za pomocą modłów, obrzędów i najdalej idących pomysłów. Trąca ktoś o obrzędy starej Grecji, o te wazy bez dna, które znajdowano tylokrotnie w grobowcach ateńskich.

— Śmieszna jest ta dziecinna tęsknota żyjących stworzeń za porozumiewaniem się jakimkolwiek z umarłymi. Długo debatowano nad tym, dla czego owe urny, na grobach greckich znajdowane, nie mają den, no i takie to proste! Wrzucano w nie przysmaki, przez zmarłego ulubione? listy może miłosne, pisane na kości lub woskowych tabliczkach? kwiaty? Wrzucane przedmioty wsiąkały w grób, lub

szy przewodem aż do zwłok — w ten sposób wydawało się pozostałym, że mają bezpośrednio ze zmarłym obcowanie.

Opowiadający milknie, natomiast podnosi głowę stary, piękny, nieodzywający się dotąd człowiek.

— Nie tyle dziwna ta tęsknota za porozumiewaniem się z umarłymi — mówi raptem — ile dążenie do bezpośredniości tego kontaktu z nimi. Bardzo ciekawą przeżyłem ongi chwilę, za czasów mojej niewoli w Dahomeju... — Strzępy rozmów zaczynają wolno wsiąkać w dominujący, a cichy głos pięknego, starego Francuza — pary zatrzymują się grupami i słuchają opowiadania, może od niego dalecy, lecz szukający chwilowego, realnego oparcia dla rozhuśtanych dusz i zmysłów.

On zaś zapala cieniutką fajkę nargilową i mówi monotownie, z pewnym co chwila się akcentującym odcieniem ironji:

— Szedłem z więzienia mego do królowej Rere, wezwany dla jakiejś jej kobiecej fantazji. Idąc, nie zastanawiałem się nad wezwaniem królowej Rere, bo chociaż wówczas jedną jedyną dopiero kobietę znałem, wiedziałem już, że fantazje kobiece, to morze nieprzebrane. A że fantazja wylęgła się pod twardą murzyńską czupryną, a nie pod puszystą fryzurą Paryżanki — nie zastanawiałem się także: równik bo dzieli może kulę ziemską na dwie po-

łowy — ale dla istoty kobiecej jest bez znaczenia.

Szedłem tedy do królowej Rere, zmęczony skwarem, znudzony niewolą, usposobiony fatalnie.

Wieś cała, szumnie zwana stolicą króla Glele, przybierała już zwolna zapyloną, wieczorną barwę — tylko w dali świeciły wyzywającą białością czaszki ludzkie, któremi artystycznie przyozdobił król mury swego pałacu.

Jak stibją pociągnięte, tą stibją, którą sobie malują brwi wschodnie kobiety, wynurzyły się przede mną antypatyczne chaty murzyńskie, w dzikich ananasach i laurach tonące.

Niewiasta jakaś, idąca środkiem ulicy, pośpiesznie odwróciła się do nas tyłem i, gruchnąwszy na kolana, klaskała w ręce. Był to najwyszukańszy ukłon high-lifu dahomejskiego, przeznaczony dla urzędowej persony za mną kroczącej.

Potym przesunęła się banda kapłanów Dangby, węża dziesięciometrowego, który był bogiem w tym kraju, ale tak lekkomyślnym i nie szanującym własnej godności, że nie chciał siedzieć w świątyni, tylko ciągle uciekał pomiędzy szałasami swego wybranego ludu, a kapłani uganiaли za nim, dzień i noc, klnąc w duchu, życząc mu wszystkiego najgorszego, ale nie okazując po sobie nic, okrom poważnej pieczołowitości. Jak zwyczajnie kapłani...

Obecnie właśnie nieśli obzartego pythona, twarze nastroiwszy w wyraz zatroskanego, uniżonego skupienia.

I znowu gdy przeszli, cisza padała na wieś.

Daleko, stary akpalo (opowiadacz) pośpiewywał sennie swoje:

Tinlege — tinlege —

Tingue — ti — uuuun,

jeszcze dalej wampiry krzyczały — głośno — zupełnie jak gdyby ktoś — hen — za linią horyzontu, bił młotem w kowadło, a tuż przed nami i za nami poszeptywały złowieszczo akrassu, sępy afrykańskie, nigdy niewydające głosu: leniwa, obzarta straż murzyńskich wsi.

Królowa Rere siedziała, jak na estradzie, na wysokim, bambusowym łożku, nad którym zwieszał się baldachim ze złotym napisem angielskim: Queen Rere.

Trzy horyzontalnie wytatuowane kreski na policzku dowodziły, że była z rasy Minahów — najpiękniejszej czarnej rasy. Istotnie była ładna, w futerale swojej wprost fijołkowej skóry — zaledwie trzynaście lat mająca, o rączkach, jakie tylko murzynki mieć mogą: cacka z hebanu. Dookoła rąk obwijały się bransolety żelazne, bo żadnemu z panujących Dahomejskich i żadnemu ich powinowatemu niewolno innego użyć metalu na ozdoby,

jak żelazo. To też każdy kowal w Dahomeju jest równocześnie jubilerem.

Skinęła mi główką królowa Rere, małą, czarną główką, na której nastroszone kłębiły się włosy, i odprawiła mego pałkarza.

Gdy odszedł, spytała bez wstępów:

— Tyś był w bitwie przy śmierci Ahuanu?

Spojrzałem jej bystro w oczy — ale te oczy nie zdradziły nic, tak jakby nie zdradziły nic w podobnym wypadku oczy Paryżanki.

— Byłem.

— Wiem, że z tobą zawarł Ahuanu przymierze krwi. Mówił ci coś, umierając?

— Mówił, że król Glele nie odbierze nigdy pantofla swoich przodków od Egbasów...

— Do pioruna z pantoflem jego przodków!!!

— rozgniewała się mała królowa. — Nie mówił nic więcej?

— ...mówił, że złoto głębiej wnika niż topór, że zatym wnet nadejdzie dzień, kiedy biali kupią całe państwo Dahomeju.

— Kpisz?! — warknęła znowu malutka monarchini. — Co mnie biali obchodzą? Pytam się, czy nic o sobie nie mówił?

— O sobie? — zawahałem się. — Mówił, że król Glele wzięł mu więcej, niż to życie, które mu bierze...

— Co wziął jemu król Glele? — spytała ciszzej i z przestraczem.

— Wziął mu kobietę.

— I?

— ...uczynił z niej agolodze, noszącą łuk, a później stała się ona pierwszą żoną króla Glele.

— Ty wiesz, że to... ja? — rzuciła nagle krótko.

Zdziwiłem się i spojrzałem uważniej na tę czarną kochankę mego zmarłego, czarnego przyjaciela, a patrząc, dziwiłem się coraz bardziej, dostrzegłem bowiem ból, naprawdę ból, w jej drobnej, śmiesznej twarzy. Murzyni nie znają sentymentu. Słowa: „kocham cię“, przetłumaczone na ich język, brzmią: „ja chcę twego mięsa“. Słowa: „jestem smutny“, na: „piecze mnie w brzuchu“.

Zastanowił mnie tedy niesłychanie wyraz cierpienia w twarzy małej Rere, tak ogromnie przez losy wywyższonej.

W kącie pokoju, przed boginią Odudua, trzymającą dziecko na ręku, jak europejskie madonny, paliła się lampka, olejem palmowym napełniona — zupełnie jak w pokoju pierwszej lepszej dewotki w Europie. Płowy blask rzucała na ziemistą twarz bogini i na łuki i kołczany, wiszące na ścianie, a pochodzące z tych czasów widocznie, kiedy Rere przydzielona była jeszcze do pułku amazonek króla

Glele, do agolodzy — zanim została przezeń wybrana na małżonkę.

W powietrzu unosił się dławiący zapach atike, ulubionego kosmetyku Minahów, w którym sprzecza się bohatersko woda lawendowa z anyżem, a kurbaryl z tłuszczem piżmowego kota.

Stałem ciągle bezradny w progę, czekając, co dalej powie mała królowa, lecz ona milczała, tylko jej wielkie, czarne oczy rozszrebrały się tajną smugą skupienia i bólu.

— Czy wiesz, biały wojowniku, że ja nie miałam nawet czasu powiedzieć Ahuanzowi, że chcę być jego kobietą?

— I cóżby ci z tego przyszło, Rere, skoro jesteś kobietą króla Dahomeju?

— Okou gbe! — mruknęła pogardliwie. — Lepiej mi było chociażby wtedy, kiedy łuk nosiłam w pułkach króla Glele, niż teraz, kiedy jestem jego pierwszą żoną. Czy uwierzysz — dodała tajemniczo i z oburzeniem, — że tu niewolno nawet paciorków nosić na szyi, ni pięknych bransolet z niebieskiej oczumary — nic, tylko te żelaziwa, dobre dla wielbłądów?!

Biedna, mała Rere — westchnąłem. Jaka szkoda, że król Glele nie zna potęgi szklanych paciorków, osuszających łzy po stracie najtkliwszych nawet kochanków... U twoich białych siostrzyc z Europy —

mój Boże! ile strasznych nieszczęść wymazała jedna brylantowa kolja...

Tymczasem czarne brewki zbiegły się nad zasmuconemi, czarnemi gałeczkami:

— Muszę mu to powiedzieć dziś — postanowiła mała królowa. — Muszę mu to powtarzać codzień — aby wiedział, że i mnie zabrał wszystko król...

— Komu chcesz to mówić, Rere? — spytałem zdumiony.

— Ahuanzowi.

— Bóg z tobą, Rere, ale czy ci smutek nie pomieszał przypadkiem rozumu?

— Nie, biały wojowniku. Zapomniałeś, że u nas posyła się gońców do tych, co umarli?

Ściągnęła ze ściany kołczan i łuk, z półki zaś zdjęła naczynie szczelnie nakryte i — milcząc — długo maczała pierzastą strzałę w tym naczyniu, w którym z pewnością był sok z mlecznego, trującego drzewa, lub nyua Kafrów, lub jad krokodyła, który tak bajecznie sporządzają Krumeni, czyniąc każde draśnięcie swych strzał śmiertelnym.

Potym, ciągle w milczeniu, uderzyła w żelazny gongon i gdy weszła stara niewolnica, kazała przywołać „Babala“.

Wpadł wspaniały Aszant — kolos o skórze koloru palonej sjenny i ledwo wszedł, runął na twarz przed małą królową.

— Wstań, — rzekła Rere łaskawie.

Wstał Aszant, a ona, oparłszy się o łuk, zaczęła mówić pośpiesznie, cicho, jakby wielką, niezmiernie straszną tajemnicę powierzała Aszantowi.

— Pójdiesz do zmarłego Ahuanzu z plemienia Minahów i powiesz, że królowa Rere kochała go i kocha... nic, tylko tyle: że królowa Rere kochała go i kocha. Powtórz...

Aszant zbladł, a właściwie spopieliała jego twarz, a oczy spoczęły na małej hebanowej rączce, trzymającej łuk, jednak powtórzył zsiniałemi wargami:

— Pójdę do zmarłego Ahuanzu, z plemienia Minahów, i powiem mu, że królowa Rere kochała go i kocha...

Czarna królowa zaś wstała na wysokiej estradzie, na której dotąd siedziała nieruchoma. Błyszczące jej jędrne ciało wygięło się raptem wtył, tak silnie, że obsunęła się zasłona jej piersi i, prawie naga, przechyliła się wtył, pilnie, mocno naciągając łuk, na którym drgała niespokojność zatrutej strzały.

— Idź, — rzekła sakramentalnie — i niech cię Bóg i Fetysze prowadzą... — I zanim pojąłem, co ona istotnie zamierza uczynić, świsnęła strzała, poczym natychmiast runął Aszant na twarz po raz wtóry, tym razem aby już nie powstać.

— Wyślę takiego codzień... — uśmiechnęła się do mnie mała Rere, wieszając łuk na ścianie.

— Takich to, moi państwo, wysyłają gońców czarne królowe do swoich zmarłych kochanków — skończył swe opowiadanie piękny, stary Francuz. — Jakież szczęście, mój Boże! że nasze panie z Europy nie wpadły jeszcze na pomysł komunikowania się w ten sposób z nieżyjącymi kochankami...

— Możeby i wpadły na to, — wtrąca kapitan okrętu, — ale u nas w Europie żadnego zgoła waloru nie mają nieżyjący kochankowie, a komunikacja z żyjącymi, pośrednia i bezpośrednia, jest zapewne tu jak tam, bardzo uproszczona.

— Jakie to wszystko nielogiczne, — wzdycha egzaltowany koloraturowy sopranik. — Czy nie łatwiej byłoby królowej Rere przekonać Ahuanza, samą siebie wysławszy doń z oświadczeniami?..

— Miłość jest nielogiczna, łaskawa pani, — konstatuje z roztargnieniem piękny, stary Francuz.

Słucham odrętwiała o miłosnych gońcach czarnej królowej i dopiero po chwili milczenia zwracam się do towarzyszącego mi dżentelmena:

— Brrrr. Okrutna ona jest, ale nie nielogiczna. Tylko wszelkie przejawy w niej są nielogiczne. Cie-

kawe tedy, z ilu drobnych nielogizmów składa się logika...

— O kim pani mówi? — pyta mój towarzysz.

— O miłości.

Zdumiony patrzy na mnie, ponieważ jako Anglik nie rozumiał poprzednio toczącej się rozmowy Francuzów, a co za tym idzie i mego odnośnika. Że jednak jest mężczyzną, uśmiecha się do mnie wlot, znacząco i zdobywczo, albowiem często kobieta zaczyna mówić ni stąd ni zowąd o miłości, z człowiekiem, o którego hołdach skrycie myśli— choć sprawiedliwość nakazuje przyznać, że równie często, myśląc o miłości, mówi o lampie, o papierze, o maszynie spirytusowej, lub o Napoleonie Trzecim.

Z wielu bowiem piankowych nielogizmów składa się żelazna logika.

W Ł A S.

(Suwałki 23 lipca 1863).

*Juliuszowi Kadenowi na pamiątkę wspólnie po
całej Galicji wygłoszonych odczytów.*

...Ojczyzno moja!
Wiedz, że z lodów mocną jest zbroja
a miecz wykuty z oków
Ty carewiczka uściśnij w tożu —
oczyma zmień go w głaz —
potym na pola idź z złotem zbożu
gdzie kosi stary Właz.
Jemu się pokłoń aż do ziemi,
bo on twój dzierży ród —
z nim pod lipami pachnącemi
módl się, do gwiazd swych, o cud!
(Tadeusz Miciński: „Do źródeł
Duszy Polskiej“).

Na żółtą tekturę sejneńskiego traktu wwlókł się drabiniasty wóz i rył na nim, jak na starym pergaminie, swój ślad. Ze szprych w obrocie sypał się lotny piasek, czyniąc smugę za wozem ni-ślubną, ni-żałobną.

Cztery koła, odpięte jak gdyby od miniaturowego młyna, obracały się mozolnie, mieląc ową nieprzejrzystą, zmaconą wodę piasku, i kładły ją później za sobą, wzdłuż traktu, znikomą, ledwo dostrzegalną tasiemką.

W tej taśmie plątały się konie kozackie, eskortujące wóz, a ślad po nich zdmuchiwał wiatr, zapobiegliwie i doszczętnie.

Biły się oddziały powstańcze koło Kryksztan, biły koło Łomży, koło Kozłowej Rudy — pułkownik Andruszkiewicz następował na pięty — mimo to kozacy otrzymali rozkaz dowiezienia tych pięciu miateżników do Suwałk i powieszenia ich jak najspieszniej.

Skazani siedzieli cicho.

Płowemi włosami Jaśka Wysockiego zakręcał i wywijał wiatr, w zygzaki je układając, w malutkie, błyszczące pioruny, w nieśmiały nimb.

Twarda, junacka, pacholęca twarz zwracała się ciekawie to wprawo, to wlewo, na głębokie jezierzce, na niezmierzone przetchliny, na kręgosłupy jodeł czarne.

Jeziora stały w blasku, jak napięte na ramy pszczelarskie wielkie plastry wrzosowego miodu. Łódki, uwijające się po nich, wyglądały z tej odległości, jakby miodorodne pszczoły błądziły jeszcze po wydartym sobie dobytku i odkradały zeń ludziom kęs po kęsie, kropla po kropli.

Jastrzębie oczy siedzącego na wozie wwiercały się łakomie w te celki pszczele, wypijając, zda się, całą słodycz miodu ciemnymi źrenicami. Nie było w tych źrenicach cienia trwogi, ani pychy, ani rozczulenia. Usta wciągały haustami powietrze, szyja wydłużała się, muskularna, z rozwartej koszuli i grała krtań oddechem silnym.

Czarna sukmana Mazura łomżyńskiego wskazywała, że jest „ponasem“, prostym chłopem z polskiej zagrody. Staszkiwicz, Krejczman i Litwin Gauszebski, byli również okolicznymi chłopami.

Ostatni modlił się, nie patrząc ani w nich, ani w niebo, ani w ziemię. Gdzieś przed siebie, w pobok pleców wiozącego kozaka.

Od czasu do czasu podnosiły się jego skute ręce do czoła i czyniły na nim duży, brzęczący znak krzyża, rozkładający się na ramiona i piersi. Banalność tego gestu zamieniały kajdany w jakiś akt skomplikowany, uroczysty i nieokreślenie dostojny. Ryła się brózdka w powietrzu od tych znaków, którym nie przydzwaniał fałszywy klekot kościelnego dzwonu, ale hejnałowy dźwięk męczeńskiego łańcucha.

Po każdym takim znaku płoszył się najbliższy wozu idący koń assauła — złośliwy kasztan, i skakał w bok. Wówczas zrywał go lejcami assauł i warczał pod nosem:

— Czort jewo bieri!!!! — takim tonem, że przekleństwo dałoby się równie dobrze zastosować do Gauszebskiego, jak do trwożliwego, nieobliczalnego kasztana.

Sam jeden naprzeciw czterech milczących chłopów siedział Trąbczyński, naczelnik drobnej partyi powstańczej, ostatni z możnego ongiś rodu (od

podskarbiego wielkiego koronnego, Tomasza, wywodzącego się w prostej i — może — nieco krzywej linii.)

Trąbczyński bał się.

Do głębi duszy przeżuwał śmiertelny, nieugaszony, przeraźliwy lęk. W białawych jego rzęsach połyskiwały raz po raz białe gałki oczne, a źrenice uciekały w głąb górnej powieki.

Bał się.

W długie godziny oczekiwania na śmierć, chciał się przemóc. Obiecywał sobie świecić przykładem tym czterem chamom, siedzącym oto spokojnie naprzeciw niego. Chciał pokazać, że szlachcic nie tylko inaczej się bije, po pańsku a z fantazją, ale i inaczej umiera: obojętnie, hardo i do pewnego stopnia niezwykle. Wytoczył przeciw załękowi swojej duszy wszystkie komunały starszłacheckiego katechizmu, wszystkie wyświechtane przykazania pradziadów i dostrzegł z jeszcze większym przerażeniem, że stępiła się moc katechizmów starszłacheckich i zblakły przykazania ojcowe do cna — że może wogóle nigdy nic nie znaczyły i były tylko bezpotrzebnem podzwonnem spełnionych czynów bohaterskich, a wygodnym, odświętnym szyzakiem dla tych, co nigdy niczego nie spełnili.

Zato szukają racji bytu dla siebie w sławie oj-

ców, płacąc haracz wspomnieniem, w formie górnego frazesu.

Oto miał krzyczeć pod szubienicą: niech żyje Polska!!! a gardło jego zdrętwiało na szczęcie, zanim szubienicę ujrzał. Tamtych zaś widzi, jak cztery dęby, wyrwane wprost z czarnej, chlebnej ziemi — twarde, nieugięte, szponami bezświadomej dumy zaszyte w straszną konieczność.

Chłopy polskie...

Mało ich było, gdy zawezwała Ojczyzna do boju, ale ich przecież uczyła szkoła szlachecka, że, poza robotą przy łanie pańszczyźnianym, nic zgoła obchodzić ich nie powinno. Więc nic ich nie obchodziło. Nienadaremno wołał Bielski, imieniem szlachty, gdy planowano pułki chłopskie stworzyć: „niebezpiecznaby nam rzecz była, broń swą odpasawszy od boku, innemu ją dać“. Marzenia Batoroego o armji chłopskiej zabił imperatyw szkoły szlacheckiej, politycznej. Ci jednak z ludu, którzy splunęli na szkołę szlachecką i mimo wszystko poszli krwawy dług spłacać Ojczyźnie — ci stali się świtem na ów nowy dzień Polski, na ów dzień, kiedy szpik ziemi, sok żywotny jedyny, pracę swą rozpocznie we wnętrzu bankrutującego organizmu. I tych zwielekroć pojęciowo można do wielkości symbolu na przyszłość. Szlachta wiele win okupiła krwią w powstaniach przelaną, krwią cenniejszą niż

ta, wylewana ongiś obficie w zapasach tureckich, szwedzkich i tatarskich i... obficie płacona dostojenstwami Rzeczypospolitej. Ale też na tych kartach skończyła się jej historia, zamknęły jej rachunki. Drzwi otworzyły się naoścież tym, których garść tylko w ów dzień znoju przyszła od pługów...

Więc patrzy ciekawie Trąbczyński w tych chłopów polskich. Chce pochwycić przytomność, która jak ptak przesybowuje chwilami nad gorączką jego mózgu. Przypomina sobie nazwiska towarzyszków... ach, ta partja Wawra! nieświeżna, chłopska, bez sztandaru, dziegiem zanosząca, a krasna od sukman, a najeżona od kos, zgarniająca bezchełpliwie pył bojowy i krew...

Trąbczyński chce odsunąć włosy, spadające mu z pod krakuski na mokre czoło, lecz przytym dzwoni w kajdany i płoszy ptaka przytomności, szybującego gnuśnie nad rozgorzeniem mózgu, jak sygnaturka kościelna płoszy rozespiane nietoperze.

Odlatuje ptak, a serce bić zaczyna na nowo alarmem rozpaczny — targane, szarpane, dręczone, jakby bagnet w nim tkwił i obracał się wskazówką nieznośną na żywej, tętniącej tarczy.

.

— A tamci jeszcze nie skończyli żać... — zauważył nagle Jaśko Wysocki i cztery pary oczu

zwróciły się ku Krasnopolskim łanom, popstrzonym z gęsta bursztynowemi guzami półkoptów, jak stara delja szlachecka.

Wystrzyganki jakieś poruszały się na złotych arkuszach pól: krakowska szopka żniw, nad którą nie zwisa sześciokątna gwiazda betlejemska, ale krąg blachy słonecznej, równo wyciętej w błękicie i wysuszającej rozkolędowane gardziołka skowrończe.

— Co mają się śpieszyć? — odpowiada flegmatycznie Staszkiwicz.

I znowu cichną, wsłuchani w rozgwar. Wóz sunie jak widmo po piasku, bezhałaśliwie znacząc jakąś tajemną godzinę na klepsydrze kół, z których sypie się piasek i sypie.

Zerwał się tuman wspomnienia i owiał ich rozkoszą, tak jak prądem wichru zrywa się tuman pyłu i osiwia drzewa przydrożne.

Trąbczyńskiemu przyszło na myśl, jak niedawno jeszcze wzdychał do śmierci — jak powtarzał sobie, że lekką jest tylko ziemia, że nie można sobie wyobrazić, aby było coś rozkoszniejszego nad sen, pod świeżą, zieloną darnią, kiedy ziemia cała paruje i pociąga zgniłe nasze resztki w zawrotny, nieśmiertelny tan. To drugie życie dopiero wydawało mu się życiem istotnym, bezbolesnym współdziałaniem w aktach twórczych i boskich. Cóż ży-

cie pierwsze? powolnym kopaniem tego dołu, do którego zejść musimy, a który zasypią żwawo, niecierpliwie ręce młodsze, ręce muskularne. Tak prędko rozbierze nas potem ziemia z szat podróżnych, ze zbytecznych przystrojeń, abyśmy nadzy stanęli do roboty, do jej roboty.

Tęsknił wówczas do tej roboty — inna zniechęciła go. Końce palców ścierpły mu od ciągłego wodzenia po przedmiotach szorstkich i ostrych. Aksamitu pragnął — włókien darni świeżej — kęsa ziemi wilgotnej — w aksamitne łożę pragnął iść. Miał dość tego ze suchych liści i kłujących oczeretów.

Ostatecznie skoro sen może być połową naszego życia, może się stać i całym życiem. Dobry, twardy, bezwizyjny sen...

Plątała się wśród ówczesnego zniechęcenia i zjawa kobieca: pyszna głowa, niesiona na emaljowanej tacy ramion, jak głowa Johanana — nos o greckiej nasadzie — oczy złe i uśmiech oderwany, do całej twarzy nienależący — obcy oczom, obcy jej — — bliski jemu.

Dolatywał go po długiej wędrówce szlakami siedmiu planet dźwięk jej głosu, podobny starciu dwóch kling stalowych — ruch jej szyi wiotkiej, z tych pańskich szyj, które setkami ścięła gilotyna Teroru, jakby tłukła bezboleśnie porcelanki saskie.

Pragnął śmierci jeszcze niedawno, a teraz dałby i tamtą głowę kobiecą najcudniejszą — dałby zbawienie, dałby spokój duszy, byle móc zejść z tego rozkołysanego jak łódź wozu i pójść przed siebie między chwaściste rżyska i łany, między lasy, idące od serca Litwy jednym omszonym, nieprzebytym murem — zupełnie jak gdyby ktoś przebił to serce i bluznęła zeń czarna, szumiąca posoka lasów, zalewająca wszystkie ziemie wokół...

Takby szedł, rzeźkim krokiem!... pijąc u tych żył błękitnych — karmiąc się u tych snopów — odmłodzony, w zachwyceniu nieustannym przed łaską swobody. A potrzebaby na to tylko, aby się wychylił jaki mały, pstrokaty oddziałek z za wzgórza i wpadł wichrem na sotnię kozaków. Wbił oczy jak szpady w horyzont i czekał.

Wielka Sprawa, która była jedyną jeszcze tydzień temu, zacichła obecnie. Ozwało się natomiast ze zdwojoną siłą to dziedziczne, szlacheckie a nie-uświadomione nawet konkludowanie, że z chwilą kiedy on, szlachcic, ginie — ginie z nim i sprawa.

Szlachcic polski identyfikował się bezwzględnie z Ojczyzną — przykrawywał jej majestat najdokładniej do swojego pomiaru — kiedy rósł on, rosła z nim i ojczyzna w jego mniemaniu — kiedy ginął on, ginęła i ona. W ten sposób na całym obszarze Rzeczypospolitej szarpane były trzewia

Polski, rozkawałkowany jej serce, przetapiane jej dziedzictwo. Polska stała się dziwolągiem w uszlachconym ręku, a hańbę tego kaduceusza, który szlachta wcisnęła Polsce w dłoń królewską, hańbę tę zmyć musiała potokami krwi i łez. Niestety na karb winy szlacheckiej poszło tyle, że nie zostało już nic na karb zasługi, więc musiała zejść z areny kasta, która po tylu tysiącach lat żadną zasługą wylegitymować się nie może. Bo że własną piersią osłaniała granice Rzeczypospolitej? mój Boże! osłaniała przytym i swój dobytek i dobrze sobie kazała za to ojczyźnie płacić. A któż policzył bezimienną cmentę ludu chłopskiego, co zginął bez chwały, bez nagrody w łanowej piechocie? a w t. zw. „cudzoziemskich“ regimentach?

Dla chłopa nie egzystowała jednostka. Egzystowała: Gromada. Ze zaś ona jest surogatem Republiki, a republika mądrym podporządkowywaniem jednostki interesom Narodu — z chłopa polskiego nie wykrzesze nigdy iskry dla monarchicznej idei — mimo batów, które mu przez całe wieki zginały kark przed wielmożem i mimo dziecinnego podziwu, z jakim patrzy na karetę pana, na wszelaką pompe królewską.

To też dla Trąbczyńskiego umarła w tej chwili sprawa, jako że umierał on, zaś chłopci milcząc kalkulowali, ileby żołnierzy sformować można z tych

szeregów nachylonych tam nad łanem, nad błyszczącym sierpem, który tnie kłosa, ale i łby wrogie ścinaćby mógł. Nie wiedzieli oni, czym jest jednostka — wiedzieli tylko, czym jest Gromada i od tej Gromady przyszłej wyczekiwali cudu, nie od siebie.

Zresztą upili się szybko bezmiarem pól.

Jakiś żal, lekki jak dym, osnuł im wiotką pajęczyną serca. Jęli żałować za czymś nieokreślenie i bez zastanowienia. Dymek owinał się kilkakrotnie jeszcze dookoła ich serc i zgiął w bezkresie twardej konieczności.

— Jezu! — mlasnął nagle zbielełymi wargami Trąbczyński i głowa jego potoczyła się jak kula na drabinę.

Chłopi drgnęli. Nie zauważyli dotąd tej męki obok siebie, nie rozumieli uczuć nieobjawianych, pańskich honorów i ambicji.

— Hej, panoczku! abo to śmierć taka straszna? — rzekł łagodnie Jaśko. — Tam w polu nieraz koń włókł rannego za nogi i wypruwał mu wnętrzności na pniakach. Tu zaś będzie raz dwa i koniec i jednako nasza ziemia nas przygarnie...

Otworzyły się zmęczone oczy i spojrzały półświadomie na młodą, twardą, jastrzębią, pacholącą głowę, nachyloną nad niemi.

— Nie boję się... — jęknęły wreszcie sine usta,

a z mordowana jaźń chwyciła znowu za skrzydło przesybowującego ptaka przytomności.

— Nie trzeba się bać — poważnie zaopiniował Krejczman i wszyscy czterej nachylili się nad Trąbczyńskim, dobrotliwi i opiekuńczy.

— A może oni jeszcze nadejdą...? — szepnął po chwili Trąbczyński bez tchu.

— Niby kto? Nasi?

— Tak. Toż pan pułkownik Andruszkiewicz blisko...

— Pewno, ale Suwałki jeszcze bliżej, — rzekł Litwin. — Ot widać już kościół suwalski.

Trąbczyński podniósł łeb i zmaćcone oczy utkwiał w wieżę kościoła.

— Już?! — zapytał śpiesznym rżeniem.

— Tak, — mruknął Staszek i potem zaraz rozsypały się wspomnienia, nadzieje i rojenia, jak owoc jabłoni sodomskiej, która za pierwszym dotknięciem rozsypuje się w proch.

Słychać było tylko świszczący oddech Trąbczyńskiego i niewiadomy szelest, jakby cicho napływała woda do tonącego okrętu...

Za niemi, za śladem kół, wlokła się taśma ledwo dostrzegalna, stratowana końskimi kopytami — miraż ich bytu, ich wędrówki. Zaś ku nim, od Suwałk, biegła po złotym piasku oślizgła pętlica, sprawnie szukająca ich szyi.

Trąbczyński mdlał, chłopci patrzyli nań bez-

radnie. Rysy ich stwardniały jeszcze, hartowne usta zwały się w nieugięty grymas. Czuli jakoby w dwójnasób moc swoją, hardą moc chłopskiej duszy, niestereanej, mającej dziesięciokroć razy tyle do dania, co dali inni i na których czas najwyższy, aby odeszli.

Soki waliły w ich żyłach, mocniejsze niżli śmierć, pulsa biły miarowo, zgodnie — prostowały się korpusy, jak napięte cięciwy.

Grała w chłopach jakaś bezświadoma pewność, że, nawet umierając, zostaną — ornej, chlebnej Ziemi jedyną kolumną. Że w przypadkowym zbiegu okoliczności, w tym mdlejącym szlachcicu i w nich, nieulekłych polskich chłopach, leży pewien symbol niewsteczny, ale symbol na przyszłość: zaguba świetnej kasty i wskrzeszenie tego, co w zbutwiałej trumnie od wieków leżało, czyste, nienaruszone, mocarne i młode.

Suwałki zbliżały się.

Już zjeżdżali w wyschłe jezioro, na którego dnie, jak perły, muszle i wodne chwasty, leżały domki, kamienice i ogrody.

Z prawej i lewej strony kładły się dwa lustra jezior, jak dwie szczerosrebrne klamry przy płaszczu, połączone błękitno szmelcowanym łańcuchem Czarnej Hańczy.

Ów płaszcz wydymał wiatr dookoła miasta

w warjackie wyrwy i złomy, a szedł ten wiatr od nieodgadnionego morza, nieprzecedzony przez żaden filtr lasów, więc ostry, słony i orzeźwiający.

Wjechali w „Warszawską“.

Zaturkotały nagle koła na lichym bruku, zupełnie jak gdyby dopiero w tej chwili do wózka je przyczepiono.

Skocznym rytmem poruszyły się drabiny, zadzwoniły jakieś niesłyszane dotąd przez jadących śrubki, sprzączki, łańcuchy, podkowy i wóz wjechał na marny rynek.

Nie dojrzeli na nim nic na razie, okrom bladego rusztowania i sznurów, zwisających z południa.

Kozacy sformowali czworobok. Skazańców ściągnięto z siedzeń wtył, przez roztrzęsiony powąz.

Blask sprezentowanych pałaszów zajrzał chłopom w oczy, jakby rekoszetem ich własnej, złototwórczej łuny męstwa.

Zdjęto im kajdany i zaraz jęli iść ku rusztowaniu, oni, chłopci, pierwsi, cztery dęby rosły, śmigły, sukmanami chrzęszcząc, na szerokiej piersi mając rozwarłe koszule, jak marmurowe wrota do serc.

Powlekła ich jakaś zaduma dostojna i piękna, wiekuisty splendor dokonanego zadania. Rysy ściągnęły się w zamyślenie głębokie, brwi podniosły się lekko, jak u kogoś, który z bardzo wysoka patrzy w dół.

Niesli w sobie powagę siewcy raczej, niż idących na rzeź. Królewskość zadatków na przyszłość. Bo „*ziemia wszelką śmierć składa w osierdzie swe, które jest kolebką bohatera*“ *).

Przez długie unieruchomienie i ciężar kajdan stał się ich chód sztywny, mechaniczny, obrzędowy i dla tego wydawali się jakby jakimś znakiem — figurą jakąś, określającą matematycznie niezrównanie doniosłe zagadnienie.

Szli ku rusztowaniu — raptem wstrzymano ich i zawrócono.

Dygnitarz w szamerunkach i złotych buljonach jął odczytywać wyrok, coś, czego nie byli ciekawi, coś zagmatwanego, skomplikowanego, najeżonego frazesami, z których wyglądała śmierć i nic tylko śmierć.

Lecz przy końcu wyroku, najniespodziewaniej było oświadczone, że czterech skazanych ma się stracić, piątemu zaś, najgodniejszemu łaski, ma być życie darowane.

Piersi zdumione wstrzymały oddech. Dygnitarz w szamerunkach i buljonach uśmiechnął się. Przyszedł mu na myśl pierwowzór ludzkiej sprawiedliwości: sąd Salomonowy, następnie pomyślał, że

*) Juljusz Kaden : „Wianki“.

zabawnym będzie widowisko, jak daleko sięga upodlenie człowieka, a że był i krotochwilny i oczyszczony w psychologicznej literaturze francuskiej, więc postanowił zdać się na wybór samych skazańców.

— Słuchajcie! — rzekł, — Najjaśniejszy Pan darował jednemu z was życie, temu co łaski godzin najbardziej. W moich oczach, sukinsyny, żaden z was pięciu łaski nie wart — osądźcie więc sami, który ma zostać przy życiu. Tylko... nie porywajcie sobie łbów, bo gdzież będzie ów jeden łeb, który mam zdrowym i całym pozostawić do dyspozycji Najjaśniejszemu Panu?

Żaden śmiech obleśny nie pochwalił dowcipu. Cisza rozdzwoniła się śmiertelna. Wszystkie oczy jęły biegać od chłopów do nieprzytomnego szlachcica.

— Daję wam trzy minuty czasu, — ozwał się znowu dygnitarz i spojrzał na złoty zegarek, który mignął w jego ręku jak piorun. Następnie zapalił papierosa, ściśle wedle recepty na wykwinność, i czekał.

Trąbczyński nie odrazu zrozumiał, o co chodzi. Trwało dobrą sekundę, zanim przestał mrugać powiekami. Wreszcie zatoczył się i... padł przed chłopami na kolana.

Zdawało się, że omdlał, bo upadł miękko i bezwładnie, lecz chłopię, bystro spojrzawszy po sobie,

wyczuli, że za moment nastąpi coś, co sponiewiera dumę polskiego żołnierza.

Może chwilę, mgnienie oka, zaśnili byli o ciąg-nieniu losów i tęsknota za życiem ozwała się w każdym z nich drapieżną żądzą, ale teraz zamilkła.

Wyczuli, że na nich spoczął ciężar godności narodowej, że kosztem najogromniejszego z ludzkich poświęceń muszą zamknąć usta Trąbczyńskiemu.

Brwi zbiegły im się i przerznęły im czoła od skroni do skroni. Nie czekali, aż minut trzy upłynie, bo momentalnie wystąpił z szeregu Staszek i rzekł dobitnie a śpieszno:

— Myśmy waszych więcej do piekła wysłali niż pan Trąbczyński — jemu więc łaska cysarska się należy, nie nam.

Ktoś zaniósł się płaczem w tłumie — jakaś szabla brzękła w szeregach — dygnitarz w szamerunkach skrzywił się. Niewiadomo, czy że jemu popsuli chłopci zabawę, czy że odbył się proces odwrotny dla jego duszy, niż tego pragnął? Skrzywił się. Podziwiał oto dotąd szczerze, ale w najgłębszej skrytości ducha, tych „Polaczków“, co się targnęli na najwyższą w jego mniemaniu potęgę, więc z pasją duszy marnej, która nie lubi niczego

podziwiać, czy czcić, zapragnął zedrzeć z tych „Polaczków“ nimb bohaterstwa. A oto cicho, bez łkań, bez kłótni, bez czołgania się do jego lakierowanych butów, rozsądzili sprawę.

Po chwili namysłu zamajaczyło mu podejrzenie, że chytry Mazur w ten sposób zamanifestować chciał gówność swoich uczuć i wkraść się pozorem bohaterstwa w jego łaskę.

Zajrzał tedy uważnie chłopom w źrenice.

Stali jak mur, w hardej determinacji, mając na twarzach ten wyraz zamogilny a nie do określenia, który mają twarze umierających.

Skinął więc zniechęcony na oprawców, zupełnie rozczarowany już do psychologicznych pewników francuskiej literatury.

Czworobok kozaków instynktownie się zacieśnił. Nie chciał nikt wierzyć w całym tłumie, że ci chłopci istotnie, dobrowolnie pójdą na stryk, że nie kryła się zasadzka w ich zawyrokowaniu.

Wierzył tylko dygnitarz krotochwilny, szamerunkami i buljonami przystrojony, i doznał satysfakcji, że przecież nie we wszystkim zawiodła go psychologia, czerpana z najpierwszorzędnieszych bądź-cobądź romansów francuskich.

Wyczytał chłopom z oczu niezrozumiałe, chłodne bohaterstwo i z pewnem zadowoleniem miłości własnej obserwował, jak szli spokojnym, rów-

nym, odświętnym marszem, nie zwalniając kroku.

.
Czterej chłopci polscy — cztery dęby na maszt
bojowego okrętu — cztery Znaki przyszłych dni
zwycięskich — cztery kolumny pod strop nowego
Domu.

KAPITAN LERBAS

(Malinówka 20 października 1863).

Sądny dzień nastał na bagnach malinowieckich. W dali huczał las pożegnalną pieśnią ginących: Święty Boże, święty Mocny...

Kartacze rozdzierały uszy, kule armatnie prażyły po rudych liściach i otrzepywały ich ostatek.

Od czasu do czasu wystrzeliwała w powietrze ognista raca powstańcza i odpowiadał jej kwik koni rosyjskich i niehumanitarna wrzawa łamanych szeregów.

Przeciwstawiając barbarzyństwu ryku wojennego solenną ciszę — cicho konali ludzie, a ziemia odpowiadała jękiem — niewiedzieć, czy ich duszom odchodzącym? czy niezaspokojonej ich tęsknocie? czy poprostu grającym armatom...

Nad bagnami stały furgony w milczącej, skupionej, zrozpaczonej gromadzie. Nie wiadano, co czynić.

Konie rwały się z lejców i stawały dęba, włochatemi łbami zakreślając łuki, i zapadały się tylnymi kopytami w grzęzawisko, chrapiąc, wierzgając, łomocąc bokami. Żołnierze trzymali je za pyski,

zapatrzeni w czerń lasu, który grzmiał i grzmiał i z którego, każdej chwili, wyjść mogła biała wiedźma. Śmierć Jak wielkie, ociemniałe Karty Księgi, rozłożył się las na obie strony, a oni czytali z wysiłkiem i chciwością — na odległość — co pisze los.

Koniec zbliżał się najwidoczniej. Tylko już pieśń rozsnuwała swój żałobny wysiłek na gasnące strzały powstańców. Tyraljerka sypała perły swego tragicznego śmiechu coraz rzadziej — echo jedynie podnosiło jej znaczenie i zwielokrocało jej marność.

Przy furgonach stał kapitan Lerbas. Twarz miał ciemną, jak ten bór, unierający tam pod cepami kul, tylko włosy kładły się białe, jak politurowane ramy, dookoła brunatnej, cokolwiek bizantyjskiej twarzy.

— Stać! — powtarzał twardo od czasu do czasu i wrzynał się karabinem i nogami w mokradło. Przepaść tego mokradła miał za sobą, a przed sobą kilka tysięcy Moskali i dwanaście ziejących armat.

Polacy ginęli. Każdy wystrzał artylerii odbijał się najpierw o omszoną korę grabów i wracał obuchem ku sercu żyda i brzoź. Kilkadziesiąt-krotny rekoszet dźgał i dźgał serce wierne, żołnierskie, lecz kazali mu stać tutaj, więc stał.

Nagle ujrzał, że na rozpiętej, najciemniejszej kanwie babiego lata rwą Gromejkowi ułani. Imagina-

cyjna przegroda między lasem ginących a niemi: ta sieć pajęczyn jesiennych omotywała się dookoła pęcin końskich i darła w sztuki, że nic z niej nie pozostawało, jeno chyba gdzieś, posiwiały włos. Od trosk te łany posiwiały...

Pan pułkownik Krysiński przesyłał rozkaz, aby się Lerbas cołnął z furgonami poza bagno, inaczej będą wozy z amunicją i kasą stracone. Czupryny stanęły dębem na głowie żołnierzom. Nikt jeszcze tego bagna nie przeszedł. Widzieli śmierć przed sobą w gardzieli rozkrzyczanego lasu, ale za sobą, w tym lepkiem błocie, w tej mazi przepastnej, widzieli więcej niż śmierć.

Widzieli — strach.

Kapitan Lerbas zawrócił na miejscu i zakomenderował marsz przez trzęsawisko. Konie puścił luzem, a żołnierzy i siebie wprzągnął do wozów i jęli ciągnąć furgony.

— Niech to piorun trzaśnie! Nie możemy iść, panie kapitanie!

— Lepsza zdychać tam w lesie, niż tutaj w błocie...

A błoto chlustało i skamlało, łaszcząc się niewinną siwą pianą, a pomruk szedł poprzez nieprawdopodobny wysiłek. — Szeregi łamały się — wozy trzeszczały i przeginały się to wprawo to wlewo, a tuż za niemi grały organy armat, jak w tumie, na wszystkie tony, na wszystkie kadencje.

— Kto nie będzie szedł i ciągnął wozów, temu kula w łeb, — rzekł krótko Lerbas. — Hajże, chłopcy! Toż w rękach waszych dobro partji, toż amunicja i pieniądze i mundury.

Nie skończył mówić, gdy kilku żołnierzy puściło dyszle i orczyki i zawróciło ku huczącemu lasowi.

— Stać — łajdaki! — wrzasnął Lerbas.

Żołnierze biegli jednak dalej, sapiąc, walcząc z ogarniającymi ich szponami błota.

Żyd pobladł, a równocześnie płomień przeleciał przez jego bure rzęsy. Sucha ręka podniosła się — huknął strzał i pierwszy z brzegu uciekinier runął w błoto.

Reszta cofnęła się przerażona i, porwawszy się do wozów, szła dysząc i rżąc, coraz bliżej i bliżej przeciwnego brzegu, stałego gruntu i wybawienia.

Gdy dobijali do zielonego pasma murawy, zabiegł im niespodzianie drogę koń, czarny jak noc, ochlapany błotem po kark, rozwydrzony nadmiernym wysiłkiem przeprawy.

— Kapitanie! jakim prawem zabiłeś mego żołnierza?! — zawołał z konia rotmistrz Gromejko.

Lerbas puścił popychany wóz i, potrząsając w uniesieniu karabinem, rzekł:

— Takim prawem, że kazali mi iść, nie uciekać, więc każdemu uciekinierowi pałę w łeb.

W lesie zamilkło coś na moment, tylko pieśń płynęła żalosna i wielka i w tę pieśń, jak w kielich kwiatu, padł strzał — jeden — głośniejszy niż wszystkie, które grały od dwunastu godzin.

Dymił pistolet w rękę Gromejki, a Lerbas chwiał się, jakby go trzęsawisko wciągało w głąb.

Patrzył Gromejce w oczy jakimś straszliwie smutnym pytaniem — wreszcie przyklęknął:

— Nie zrozumiałeś mnie, panie rotmistrzu! Przepadło!!! niech żyje Polska!

I zesunął się wolno na błotną pościel.

Zawarczały znowu w dali armaty — ale hejnałowo. Z rosyjskich armat strzelali... Polacy.

Pieśń zamilkła. Nie czas było już na pieśń i na modlitwę, czas było na odwet.

Las jęczał i słaniał się od ciosów. Ptactwo spłoszone szybowało wysoko nad ziemią, — buchnęła w niebo niepowstrzymana radość odwetu i zwycięstwa — a poza lasem, na skoszonej łące, uciekali dragoni rosyjscy co koń wyskoczy, zaś słońce biczowało ich purpurą...

.

— Zabiłem Lerbasa, rzekł Gromejko, salutując w godzinę później przed pułkownikiem Krysińskim.

— Oszalałeś? jak to?!

Gromejko chwycił się za głowę.

— Nie rozumiałem go, nie rozumiałem! Pamiętałem tego Abramka-zdrajcę i wszędzie zdrajcę w żydzie widziałem. Sądziłem, że Lerbas grozi mi karabinem, a on przysięgał tylko na karabin, na jedyny swój żołnierski talizman, że palnie w łeb każdemu, co Polskę odstąpi. W uniesieniu, w oszołomieniu, nie rozumiałem go...

Każ mnie rozstrzelać, panie pułkowniku.

Krysiński podparł się na szabli, bo chwiał się cały od dwunastogodzinnej męki bojowej, i mówił głucho, jakby do siebie i do tych pól, na przemian oranych to pługiem, to armatniami kołami — i do tego lasu, skostniałego po zwycięstwie:

— Gdybym miał rozstrzeliwać wszystkich tych, którzy w Polsce odepchnęli bratnią dłoń...

gdybym miał rozstrzeliwać wszystkich tych, którzy nie ufali, którzy podejrzewali o nędzny zamysł jednostki obcoplemienne, a wierne...

gdybym miał rozstrzeliwać wszystkich tych, którzy za jednego zdrajcę, za dziesięciu zdrajców, za stu zdrajców — odsadzili od czci i wiary garnących się do nas. —

panie rotmistrzu!!! nie starczyłoby mi może kul...

NAPIS NA FURTCE

Dorastającej Młodzieży polskiej.

Nad Mrową pąkowały sady — wcześniej — a że kwitnące jabłonie i śliwy odbijały się w jej leniwej, jasnej wodzie, miało się wrażenie, że to słońce do biała ją rozpałiło, welon ślubny na błękitnym trenie kładąc.

Poszła pani wielka za góry i za lasy, a oto za nią wlecze się tren bladobłękitny, szeroki, bogato haftowany, narzucany dżetami światła, robronami odbić przybrzeżnych — długi w nieskończoność, bo oto pani już nigdzie nie widać, a tren się wlecze, szumi po trawach, chrzęści po żwirze.

Łany, jak ogromne, nieopierzone jeszcze skrzydła ptasie, biegną po bokach — pewnie wachlarzem dla zgrzanych lic wielkiej pani, pewnie dywanem dla jej nóg, kiedy szła za góry i za lasy, tren rzucający poza siebie.

Żadne pazie go nie niosły.

Owce drobnutkim krokiem dreptały na brzegu, głupie, z troskaniami pyszczkami ścinając trawę. Gęsi sunęły hałaśliwym korowodem, pędząc żółte kulki gęsiąt przed sobą — nanizane na sznurku

bursztyny — i srożąc się na Bogu ducha winne owce. Pies jakiś skudłaczony przysiadł nagle i, zwinąwszy się w dziwną figurę geometryczną, drapał sobie tylną nogą ucho — zawzięcie, szybko, czasu wiele nie mając.

Ludzi nie było widać — pochowali się w sady — tylko dwaj panowie szli nad rzeką, prawie milcząc, cudacznie, a wspaniale postrojeni, bez szczególnego zachwytu patrząc na rozległą panoramę.

— Powinieneś odę napisać na cześć wiosny, o ile cię inspirować potrafi ten mydlany pejzaż, panie podkomorzy, któryś w służbie u Apollina..

— U Afrodyty! u Afrodyty, mości książę!!
— przerwał zaczepiony. — I zdaje mi się, wnet się spotkamy w tej różowej służbie.

Roześmiało się paniątko, kroczące obok, szczupłe, muskularne nogi w obcisłych spodniach sprężyście wyrzucając.

— Ma foi, nie miałbym nic przeciw temu, jeno że król jegomość wybrał dla mnie Marsa.

— Nie szkodzi! — machnął pańską ręką tamten. — Nigdy Mars konkurencji nie czynił pani z Kypru. Żyją w zgodzie.

Mijali folwark, w sadach tonący. Przy furtce stała panienka, ubrana w jubkę liljową. Czytała głośno, z pewnym przymusem, jak lekcję:

— ..żadna nie jest tak wielka moc, ani tak wielki dostatek, którychby żelazem a mocą zwałton i przełamion bydź nie mógł, ale serce swe zwyciężyć... to...

— Któż kiedy serce swe zwyciężył, stokrótko?! — westchnął, zatrzymując się nagle, stary podkomorzy.

Panienka urwała. Zadrzały jej usta do śmiechu, ale ujrzawszy bogate stroje panów, spowaźniała.

— Imci pan Frycz Modrzewski powiada dalej, że ten zwycięży, kto ma serce mężne i wielkie...

— Mam serce niewielkie, ale mężne, panienko, dlatego pytać się ośmielam, jak się nazywasz?

— Wiosna.

— Jakto „Wiosna“?! — spytał młodszy pan, pozerając wzrokiem liljowe zjawisko.

— Na imię mi Terenia, a nazwisko moje Wiosna. „Wiosenka“ mnie nazywają. To szlacheckie nazwisko, waćpanowie, — objaśniła konfidencyjnie. — Teodor Wiosna, łowczy króla Władysława Jagiełły, zginął pod Witebskiem roku 1392. Świdrygiełło go zabił.

— Skądże to wiesz, Wiosenko? Zdziwił się podkomorzy.

— Z dziaduniem tu mieszkam, dzierżawcą pana wojewody Mokronowskiego. On to opowiadał.

— Pan Mokronowski?!

— Nie, dziadunio.

— Myślałem, żeś sama tu, Wiosenko, jak przystało na królowę sadów kwitnących — odezwał się z zalem młodszy pan, fatalną polszczyzną. — Że sama tu panujesz, w kwiaty się strojąc i karmiąc się tylko ich miodem, jak pszczoła...

— Także coś!! potrząsała burzą loków, zgorziona. — Waćpan musi należeć do świty pana stolnika litewskiego, który na swoje imieniny do Jordanowiczjechał, ponoś, zawczoraj. Prawda?

— Jakiego znowu „stolnika litewskiego“?! — zachnął się zaintrygowany.

Pan podkomorzy jął dawać tajemne znaki dziewczynie, lecz ona odpowiedziała spokojnie:

— Pana Stanisława Poniatowskiego, stolnika litewskiego.

— Wiosenko! Wiosenko! to ty wiesz, kto kogo zabił w roku 1392-im, a nie wiesz, że Stanisław August Poniatowski jest od piętnastu lat nie żadnym stolnikiem litewskim, ale polskim królem?!

— Polska nie ma króla, — odrzekła chmurnie i sucho.

— Tego cię także dziaduś nauczył?

Zamyśliła się.

— Nie. Sama wiem.

— A po czym poznałaś, Wiosenko, że należę do świty kró... stolnika litewskiego?

— Po mowie waćpana, która jest całkiem cu-

dzoziemka. Tam na jego dworze nikt po polsku nie mówi i nikt o Polsce nic nie wie.

— Ot stoi przed tobą jego poeta nadworny — zaśmiał się, wskazując na podkomorzego — a ten mówi po polsku jak nikt! — Zaryzykuję twierdzenie, że kto wie, czy nie lepiej mówi po polsku niż twój dziaduś — patryjota...

— Dziaduś twierdzi, że umarła polska poezja, — spojrzała niedowierzająco. — I polski honor.

— Może więc wszystko taką prawdą, co mówi dziaduś twój?

— ...że poeta, to anioł i święty, bo natchnienie od Boga pochodzi — a jakże mogą być aniołowie w owym piekle, gdzie się codzień Ojczyznę sprzedaje za carskie czerwienice?

— Ach, Wiosenko, jakże ci teraz powiedzieć, że natchnieniem była mi i lekkomyślna bankierowa, z którą peregrynowałem ongiś po Hiszpanii?

Ale młodszy przerwał niecierpliwie:

— Kto ojczyznę sprzedaje, bój się Boga, Wiosenko?!

— Pan stolnik litewski i jego zausznicy.

— Jako żywo, nie sprzedawałem ojczyzny, choć należę do jego zauszników.

— Może wogóle nie masz... ojczyzny... paniczu. A możeś w Polsce pierwszy raz?

— Zgadłaś, Wiosenko, pierwszy raz w Polsce jestem.

— Podoba się waćpanu — Polska?

— Podobasz mi się — ty.

Roześmiała się dziecinnie, bez zalotności, ale na chwilę zatoneły jej siwe oczy w oczach młodego pana, błyszczących jak guzy jego munduru.

Podkomorzy oparł swe wykwintne ręce na furtce ogrodu i mówił jakby nie do nich, powoli:

— Młodszy cię, starsi, i ci kochamy,

Co nas lat chylą ciężary --

„Kocham“ w mych uściech rozśmiesza damy,

Sądzące, że już zbyt stary...

— Ale!!! nie rozśmiesza! nie rozśmiesza! — powtarzała z przejęciem, a gdy urwał, otworzyła furtkę, jakby w nagrodę i rzekła:

— Chodźcie, waćpanowie, pokażę wam z jednego punktu w ogrodzie taki widok, że przyznacie, iż trzeba być szatanem, aby sprzedawać podobnie cudny kraj.

Prowadziła ich przez zwarte szeregi kwitnących jabłoni i śliw. Jakby niedość było białych, wonnych pióropuszy nad głowami, wyścielone były i ścieżki delikatnym posłaniem. Pachniało miodem. Pszczoły grały donośnie, jak w ulu. Cały świat wydawał się ulem i miodosytnią. Wróble poćwierkiwały zgiełkliwie, zewsząd cisnął się aromat i subtelny, wiosenny gwar.

Na przedzie szło liljowe zjawisko.

— Popatrzcie! — zawołała nagle panienska, stając na kopcu.

Wydrapali się za nią i spojrzeli przez lukę, wyciętą w leszczynowej gęstwinie. Opalona rączka dziewczyny wskazywała im zanoszące się od oparów wiosennych łąny, równe, miękkie, jak plusz, pokrajany nożem wierzb miedzowych, skupiających się zwłaszcza nad miejscami, gdzie pędziła Mrowa, swe błękitne wody. Bociany chodziły tam i napowrót w gronostajach swoich płaszczy, na wysokich, rubinowych nogach.

Blżej, na brunatnym, rozoranym zagonie szedł chłop i pięknym, mocnym, szlachetnym giestem siał zboże — smugę czyniąc ziarnem dookoła siebie, tak że chwilami wyglądał, jak toczący się zawrotnie bąk-olbrzym.

Z chat strzelały dymy, prosto w niebo, płacząc się z zygakiem, który czyniły białe gołębie, lśniące w słońcu jak race.

Całkiem w głębi błękitniała wieża grodziskiego kościoła, zbudowanego sto lat temu w pokucie i żalu za grzechy.

Popiół żalu posypał cały krajobraz, tak bardzo przecież słoneczny! smutek się tłukł od zagród do lasu, od lasu do rzeki, niby bezdomny pies.

Snuła się tęsknota niepokonana za czymś, co

tylko tej ziemi było wiadomym, i potraçała o drzewa że wydawały dźwięk, inny niż wszędzie.

Nigdzie tak drzewa nie szumią, jak w Polsce. Trochę w tym szumu proporców, a trochę jęku — pogrobna pieśń dla heroja.

Wzrok młodego pana biegł za kierunkiem opalonych rąk i z tych rąk jakby — cienkich i małych — brał ów obraz w posiadanie.

— Myślę, że kiedy żyto kwitnie, — zauważył podkomorzy, — to raki łowi się dorodne w tej rzeczce.

— Nie jest ślicznie? — przerwało liliowe zjawisko. — A gdybyście to na jesień widzieli!! owe łany żółte, na nich złote guzy półkoptków i tensam chłop, który tymsamym ruchem kosi, jakim dziś sieje...

— Wiosenko! ale ty się nigdy nie stań Jesienią! — poprosił melancholijnie podkomorzy.

— Choćbym się nią stała — to i cóż? Wacpanowie nie zobaczą mnie. Jeden wróci do Warszawy i Petersburga, poeta pisać na cześć pana stolnika litewskiego, drugi za granicę, do pięknych dam, co chodzą całkiem rozebrane (jak mówi dziaduś), i do obcej służby...

— Mylisz się, Wiosenko! Pójdę za granicę, ale nie na długo. Wrócę tu, do dam nierozebranych — jak ty — i do służby polskiej.

— Może usarzem zechcesz być, paniczu? —

uśmiechnęła się napół smutno, napół ironicznie. — Zowią ich tutaj „pogrzebowymi rycerzami“, bo kopje mają tylko na to, aby je łamać o trumnę przy paradnych pogrzebach...

— Mylisz się znowu, Wiosenko! bo jeśli kopię złamię kiedy, to o własną trumnę.

— Nie sztuka, nie sztuka umierać, — zaprzeczyła żywo. — Dziaduś powiada, że tylko żyć sztuka, dla ojczyzny.

— A jeśli mi kiedy ojczyzna swój honor powierzy, komuż będę go mógł oddać, jak nie samemu Bogu?! Więc trzeba będzie umrzeć.

— Tak. Oddasz go Bogu... — rzekła w zamyśleniu. Po raz wtóry zatoneły jej siwe oczy w oczach młodego nieznajomego i znalazły w nich nie młodość buńczuczną i zaczepną, ale — smutek.

— Smutny jesteś, paniczu, mimo lat młodych. Mówi dziaduś, że w nas wszystkich jest płacz, choć się śmieją oczy.

— Nie, Wiosenko! myślę, że nie płacz, tylko surma bojowa. Blask klingi tak łatwo wziąć za blask łez!! I to jest w nas... Trzeba się strzec pomyłki.

Bystro spojrzała na niego, ale podkomorzy zaczął się żegnać.

Podawała im opalone rączki, smutnie.

— Nawet nie wiem, jak się nazywacie, waćpanowie.

— Prawda! pozwolisz tedy, Wiosenko, — zaproponował podkomorzy, — że wryjemy imiona nasze na furtce twego ogrodu, jak w sztambuchu.

Nachylił się nad belką poprzeczną i misternym nożykiem mozolnie wycinał:

„STANISŁAW TREMBECKI“

Ponad jego głową patrzyli w siebie młodzi tęsknie, krzesając w biciu serc tajne przeczucie, że widzą się po raz ostatni.

— Na ciebie kolej, mości ksiązę, — rzekł, podając rylec, podkomorzy.

Wezwany nachylił się posłusznie i wrył szybko, mocno, koślawemi literami:

„JUSEF“

* * *

Przewaliła się wichura przez Polskę.

Wszystko, co było szczytem chwały, i wszystko, co było szczytem nieszczęścia, przeszło jak grot przez jej piersi.

Ostatni król — „pan podstoli litewski“ — wykwinął „król Staś“, dawno zmarł. Nikt się śmiercią jego nie zainteresował. Umysł całej Polski tylko jedno imię zaprzętało: imię księcia Józefa Poniatowskiego. Aż wreszcie i w tę świętość grom uderzył.

Do małego dworku pana Apolinarego Wiosny

zajechała w galopie rzetelnie obłocona bryczka, a wysiadający gość krzyknął:

— Panie Apolinary! — księżę nie żyje!!

Gospodarz wytrzeszczył biedne, załzawione oczy.

Zgarbiony, zestarzały do cna Chrystus, o białych, długich włosach i twarzą żółtej, jak z gliny wylepionej, która potrzaskała w słońcu — jak ze zmurszałej ferezji hetmańskiej, którą porały kule — stał pan Apolinary w progu, oparty na lasce, i nie wierzył potworności ciosu.

— Słyszysz, Tereniu?! — jęknął do wchodzącej wnuczki.

I stali wszyscy, jak trzy posągi rozpaczy, zapominając o witaniu, zapominając pytać o szczegóły.

Lecz gość z Warszawy zaczął sam opowiadać, tak jak był, w czapce i kapocie. Długo opowiadał i rozwlekle, wreszcie skończył:

— ...pan Bronikowski błagał go, aby uchodził za Plejsę, rannym będąc tak ciężko i niezdolnym do komendy — ale on kazał podać sobie konia i z konia już rzekł: „Bóg mi powierzył honor Polaków, jemu samemu go oddam“ i w parę godzin skoczył do Elstery z wysokiego brzegu...

Zatoczyła się pani Teresa.

— Teraz rozumiem!!! O Jezu! teraz rozumiem!! Czy wy wiecie, że ON tu był? Tu w naszym ogrodzie?!

Spojrzeni na nią, jak na obłąkaną.

— Co ty gadasz, Tereniu?!

— Był. Pacholęciem był. Mówiłam ci to wtedy, dziadziuniu, że byli dwaj panowie. Nie pamiętasz. Nie wiedziałam, że to ON. Rzekł mi wtedy, że jeśli mu kiedy ojczyzna honor swój powierzy, to odda go tylko Bogu. Po tych słowach poznałam — dzisiaj dopiero — że to był ON — tu! w naszym ogrodzie.

— Zmów koronkę do Przemienienia Pańskiego, Tereniu, bo ci nieszczęście rozum pomieszało...

— Chodźcie! — przerwała zadyszana. — Pokażę wam Jego podpis na furtce ogrodu. Chodźcie, śpieszcie się...

Szli za nią, nie wiedząc dobrze, czego ona od nich chce.

Furtka stała opodal, połamana już trochę i zzieleniała od mchu i starości.

Pani Teresa zanurzyła palce w ten mech i jąta go rozgarniać ostrożnie, jak włosy na czole kochanego człowieka. Coraz nerwowsze były jej ruchy, coraz niespokojniej zdejmowała rudy mech z belki.

Trzydzieści pięć lat temu... wtedy, kiedy ją jeszcze „Wiosenką“ nazywano...

Deszcze, śniegi i szrony zabiły rany liter, wśród szmaragdu mchów i zmurszenia, żaden się już napis mglisty nie znaczył.

Zatarł czas wszystko.

Ale pani Teresa ciągle jeszcze szukała, opowiadając niezrozumiale historję o dwóch przechodniach.

— Daj pokój, Tereniu! — rzekł wreszcie stary. — Przeżegnaj się! Gdzieżby ON — na furtce ogrodowej — rył swoje Imię?! Na sercu twoim, na moim: na sercu Polski... tak mów, ale gdzieżby na furtce, która dziś jest, a jutro jej niema...?!

— Tu był JEGO podpis, — powtórzyła głucho, po raz setny i uklękła w błocie, a za nią tamci dwaj, choć niebardzo wierzyli w białogłowskie koncepta.

Płakali, twarz zakrywszy, tylko pani Teresa oczy miała suche, pamiętając może, że ON jej powiedział, 35 lat temu:

— „Nie płacz jest w nas, ale surma bojowa. Blask klingi tak łatwo wziąć za blask łez!... Trzeba się strzec pomyłki.

STARY RATUSZ.

Bolesławowi Jędrzejowskiemu (Bajowi), niezapomnianemu Dyrektorowi naszej kooperatywy autorskiej.

Wszystko poszło wniwecz: chwała i sława, chełpliwa buta i istotna moc.

Czas wyssał łapczywie szpik cementu ze szpar i szczelin. Kamienne bryły rozluźniły się, jęły żyć — nie spoistym, chwalebny, niepokonanym życiem — ale, każda, życiem odrębnym, samowolnym: wściekłą anarchją ginącego organizmu.

Siwa omasta mchu czyniła co mogła. Obszywała aksamitną lamą zręby szpar, przygasała tragiczną czarność wyżarów i otworów, stroiła się w klejnoty szronów i ros, ale nie podołała. Coraz głębiej rozdzierały się pancerne szaty na piersi murów: wielkie pręgi na zesmaganym ciele.

Wieża pochyliła się na jeden bok. Zegar szedł u jej szczytu, cicho, nieznacznie utykając — milczące serca dzwonów odchyliły się od pionu i dążyły do ścian spiżowych, zdradziecko, czekając, rychło-li wyrzną palbą zapomnianego hejnału.

Niechaj się wieża jeszcze cokolwiek pochyli, a zbliżą się serca do ścian — jak spragnione usta. Do drogich, spiżowych, od lat niedotkniętych ścian.

Dzwoniły dawniej grodziskowi polskiemu. Napę-
dzały rozum do łbów miejskich rajców — krzy-
czały niebezpieczeństwo — hukwały radość.

Pod płachtą tylobarwnych, tylozmiennych flag
dzwoniły.

Rozwściekały warczeniem swoim dwuogonia-
stego lwa szwedzkiego, przybłądę — owijały się
rozkosznie w świetną żagiew wracającego biało-
czerwonego sztandaru — otrząsały z siebie z furją
rosyjskie orły, o dwóch twarzach, grabieżce.

Teraz nie dzwonią.

Jednym pourywano serca — drugim podłożono
zaporę z cegły, aby niemi wiatr nie miotnął szaleń-
stwem. Malutkie ptaszyny siadały na rytych napi-
sami dzwonach i pukały w nie swawolnie dzio-
bami, bez szacunku.

Deszcze zmywały brutalnie stuletni pył ze zdob-
nych liter, głoszących chwałę jakiegoś króla, het-
mana, czy półpanka, że stawały czasem dzwony
w całej swojej glorii i splendorze, ciemnozłote, sie-
cią szamerunków omotane.

Dawniej wieża milczała, a one grały — teraz
one milczą, a ona gra i łka i wyje, tysiącem szpar
i cięć. Wiatr smaga ją na wskroś, na wszerz, na
wzdłuż, a im wyżej, tym groźniej bucha drwiną
swoich kańczugów.

Zdaje się, że porwie za łeb tego strażaka miej-

skiego, chodzącego wokół szczytu, i śmignie nim o bruk. Schody pną się niby zeschły bluszcz w górę, po wnętrzu wieży, czepiają się nieśmiało gzymsów, trzeszczącemi łodygami po omacku szukają bezpieczniejszego oparcia.

Sypią się trociny i żwir, a im bliżej szczytu, tym ciemniej.

Zagasyły wszystkie okna, zamilkły wszystkie łomoty — miasto pod nogami naszymi zapada w jakieś wiekuiste milczenie, w czeluść niewiadomego bytowania. Tylko kroki strażaka słyszać nad głową, miarowe i dudniące.

Nareszcie podnosi się kłapa, niby wieko trumny, ciężka i żelazna, a tak delikatnym deseniem rzeźbiona, jakby do ślubnego welonu służyć miała.

Zamykamy oczy i tulimy ze zgrozy ramiona. Czekamy, aż runą na nas ślepe nietoperze, aż się zerwą sowy, jak kule puchu i pierza, z wetkniętymi w nie szklanemi gwoździemi źrenic. Czekamy, aż opadnie na nas stęchłe gieżło pajęczyn, splątanych jak sznury wisielcze.

A może sam wisielec zatoczy się nam z powały do nóg.

Bucha zaś w nas światło wiosennego południa.

W ostrołukową rameczkę okna wprawiony mamy obraz daleki, młody, dyszący i pachnący wiosną, jak gałąź czeremchy, i białe miasto, w festony

drzew przybrane, zaś w mikroskopijnej komórce, której ruchomą podłogę nam odsunięto, leży dziewczyna na barłogu, wdzięcznie wrzucona między jednym strażakiem odpoczywającym, a drugim kręcącym się w kółko na glorjecie wieży.

Dziewczyna usta ma mokre i ponsowe.

Nic-to owe miejsce sędziwe, chwały pełne.

Nic-to stare dzwony osowiałe, oniemiałe, stare mury, oplecione zgubą.

Nic-to chłępanie czasu, wysysającego szpik wieży.

Nic-to dzieje anielskie, dzieje rycerskie, dzieje minione, których kośćcem ta wieża.

Nic-to gniazdo orle, usłane między niebem a ziemią, z którego orły precz odleciały.

Gruchają w nim synogarlice.

Idzie Życie, nie pytając, perlistym, młodym, szumiącym trybem.

Może się z tego strażaka i tej dziewczki ulicznej urodzi zbój, co zaprzeda ojcowiznę do reszty?

Może bohater, co zatknie dawny sztandar na zrębie murów i wróci orły gniazdu?

Któż wie?!

Idzie Życie, nie pytając.

SPIS RZECZY:

	Str.
WYBRANIECKIE PUŁKI	1
SYNOGARLICE	7
SOBOLE	33
WSPOMNIENIA	47
GOŃCE CZARNEJ KRÓLOWEJ	55
WŁAS (Suwałki 23 lipca 1863)	79
KAPITAN LERBAS	101
NAPIS NA FURTCE	109
STARY RATUSZ	125



F

3605